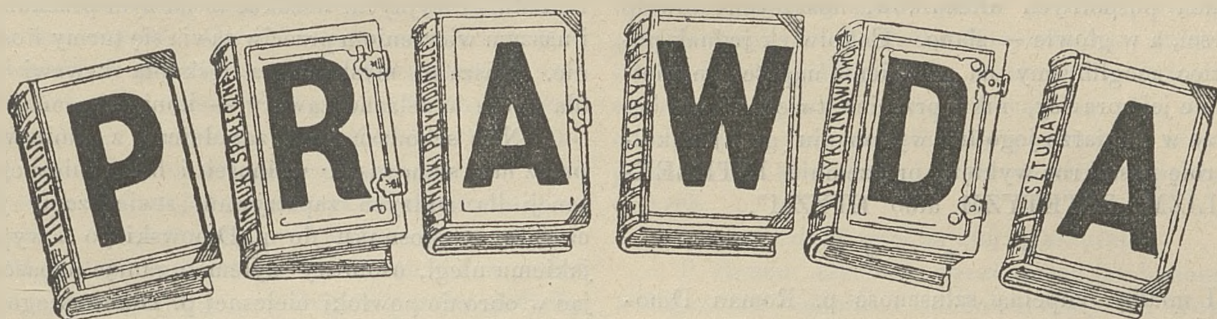
Nr 27 (1590) Warszawa, 8 lipca 1911 r. Rok XXXI



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Siew i plon.

Zwalczanie etyki narodowej ze stanowiska chrześcjańskiego nie dowodzi wcale głębokiego rozumienia zasad chrześcjańskich i mocnego do nich przywiązania, lecz tylko braku narodowego poczucia, a częstokroć i logiki. W stosunku do cudzoziemca, dajmy na to do Niemca lub Rosjanina, etyka chrześcjańska tyle mię obowiązuje, ile idzie o stosunek prywatny, o stosunek człowieka do człowieka, tam wszakże, gdzie obaj występujemy, jako przedstawiciele i obrońcy spraw swych narodów, jedynie mię obowiązuje etyka narodowa. W stosunkach osobistych nie wolno mi go krzywdzić równie dobrze, jak gdyby był moim rodakiem, bo w tych stosunkach etyka nasza, etyka chrześcjańska, nie uznaje różnic narodowych. Ale nawet zabić go mam obowiązek w walce za ojczyznę.

Roman Dmowski.[1])

— Ecce Polonus! „Oto Polak, który myśl moją zrozumiał!" — winien był zawołać p. Roman Dmowski, skoro tylko ochłonął z wrażenia brutalnej napaści, której stał się ofiarą w pamiętnym dniu na ulicy Boduena: „Nie znam nazwiska, ani pochodzenia tego młodzieńca, który mnie znieważył, — powienienby dalej rozumować p. Dmowski, — ale to wiem napewno, że uważnie czytał wszystkie moje prace, i do głębi przejął się ich duchem! Poznaję ważkość tęgich moich argumentów w odruchu krzepkiej jego dłoni. Bądź pozdrowiona młodości! poznaję kwiat mego ducha w twych ręku, — kwiat na podziw bujnie rozwinięty... Jam przed laty, w zaraniu życia swego, wypowiedział walkę etyce chrześcjańskiej w stosunkach politycznych, głosząc zasadę, iż tylko jednostki w obrębie swej ojczyzny mogą się kochać wzajemnie i współdziałać sobie, narody zaś — przeciwnie: obowiązkiem narodów całych jest nienawidzieć siebie i wzajem się zażerać. Gdyż z nienawiści, — klnę się imieniem Bismarka, — z nienawiści tylko wyrasta potęga ludów, a cywilizacja, aby żyć i postępować naprzód, tuczyć się musi krwią miljonów. Wojna jest podstawą życia — polemos panton pater — mawiali grecy starożytni, i ja postanowiłem być także Grekiem. Narody, bowiem, które przestają walczyć między sobą, wyrodnieją moralnie i rozkładają się. Idąc za głosem instynktu, zrozumiałem nagle, że jeśli my, Polacy, chcemy żyć, jako naród, jeśli chcemy spełnić swój obowiązek względem ludzkości i nie pozostawić po sobie marnego wspomnienia na kartach dziejowych, musimy przedewszystkim wykorzenić doszczętnie z duszy narodowej trzy pasorzytnicze chwasty, które jej moc i zdrowie odbierają. Są to: naprzód niebezpieczny a zaraźliwy *estetyzm*, potym — istna plaga kraju — *intelektualizm*, wreszcie — gorszy od pożaru i morowego powietrza — *etyzm.* [2]) Czyniłem wszystko, aby te trzy odmiany trucizny narodowej wyplenić, wyrwać i odrzucić precz poza krawędź nawy ojczystej. Niechaj poją się nimi i gubią wrogowie nasi! Niechaj święci się *egoizm narodowy!* W niepokoju i w trudzie, z uporem głucho zaciętej w sobie mocy, rzucałem ziarna swej myśli w glebę mózgów i sumień społeczeństwa, — aż oto dziś dożyłem chwi-

[1]) P. „Myśli nowoczesnego Polaka", str. 238 i 239.

[2]) Tam-że, str. 103.

li, w której dano mi było nietylko zabaczyć, ale i doczuć plon mego posiewu. Bez wątpienia, czyn był nędzny; człowiek, który go się dopuścił, popełnił rzecz haniebną; bez wątpienia czyn ów zrównał go z bandą pospolitych uliczników, noszących dowcip w garści, a w głowie — siano. Cokolwiek jednak powiedzieć moglibyśmy na potępienie napaści i napiętnowanie jej sprawcy, nikt przecież twierdzić nie będzie, że w zamiarze jego lub wykonaniu grał jakąkolwiek rolę postokroć wyklęty przezemnie INTELEKTUALIZM, ESTETYZM albo ETYZM".

* * *

I miałby zupełną szłuszność p. Roman Dmowski, rozumując w ten sposób. A nawet, nie rozstając się ze słusznością, w w rozumowaniu swym, mógłby on pójść jeszcze dalej. Przekonawszy się, że napastnik nie z osobistych działał pobudek, ale imieniem pewnego „odłamu młodzieży", miałby on prawo nabrać przeświadczenia, iż duch „dmowszczyzny" wcielił się już w ciało zbiorowe; spokojny przeto o dalszy byt swego ideowego dziedzictwa, mógłby on, jak bogowie Heinego, otuliwszy się obłokiem, zasnąć snem równie szczęśliwym, jak oni.

Cała atoli prasa polska przyjęła z oburzeniem owego ducha „dmowszczyzny" uosobionego w akcie niecnej napaści. Uniesiona falą powszechnego gniewu i oburzenia, nie zdaje sobie ona zapewne sprawy z tego, ile w tym jej gniewie mieści się potępienia dla całej ideologji endeckiej. I my, postępowcy, piętnujemy również surowo i bezwzględnie awanturniczy wybryk krewkiego młodziana: człek, który podczas polemiki albo rozprawy społecznej, miast argumentu sięga po kij, traci w oczach naszych godność gentlemana. Powiemy więcej: my słów dość piekących nie znajdujemy, aby wstydem i hańbą wobec pokoleń potomnych obarczyć zbrodnie duchowego terroru. Wszakże to przeciwko nam, pozostającym zawsze w mniejszości, zwracają się akty wszelkiej przemocy i ucisku; przeciwko nam, sterującym w przyszłość, piętrzy się mur fizycznego oporu. Wszakże to nas, wolnomyślicieli i postępowców, idących pod sztandarem idei, denuncjują biskupi do władz sądowych i administracyjnych! wszakże to naszym przekonaniom i naszym wierzeniom przeciwstawia się turmy i osiedlenie. Nasza to myśl i nasza tęsknota krwawi skrzydła swoje o żelazne zawory — konieczności!...

Nie schodząc atoli zasadniczo z umiłowanego przez nas stanowiska wolności i bezgranicznej tolerancji dla cudzych zapatrywań, stwierdzamy jednocześnie, w stosunku do p. Dmowskiego i wypadku, jakiemu uległ, osobliwy dylemat: ganiąc napaść i stając w obronie powłoki cielesnej p. Dmowskiego, skazujemy na potępienie jego ducha, jego ideologję. Chcąc zaś ocalić ideologję, na szwank wystawiamy jego skórę, gdyż w takim razie zmuszeni będziemy pochwalić napaść.

Dylemat ów stanie się oczywisty po kilku słowach wyjaśnienia z naszej strony, a raczej może — przypomnienia.

Z powyżej przytoczonego przez nas tekstu ewangelji narodowej, według p. Romana Dmowskiego, dla zbawienia ojczyzny przepisanej, widać, że wobec cudzoziemca egoizm nasz nie powinien znać jakiegokolwiek wędzidła: niczym krępować się nie powinien. Nieprzyjaciela swego narodu powiada ewangelista endecki, każdy ma nietylko prawo ale i obowiązek zabić w walce za ojczyznę. Zwykła etyka ludzi uczciwych, według niego, ma nas obowiązywać jedynie wobec rodaków. Doskonale!

Ale, zapytajmy, któż to są rodacy? i któż to są cudzoziemcy? Oba te wyrazy mają bowiem dla N. Demokracji znaczenie szczególne. Do cudzoziemców, według niej, zaliczać należy nie tyko Niemców, Turków lub Rosjan. Nie każdy, kto się czuje Polakiem, bywa dostatecznie Polakiem dla Nar. Demokracji. Marjawici są w jej oczach żywiołem wielce podejrzanym. Socjaliści, w słowniku p. Dmowskiego,

---

2)

F. ARNSZTAJNOWA.

LUCANIOLO.

Dramat w 1 akcie

Lucaniolo

(półgłosem)

O Beatrice, złotowłosa Beatrice moja,
Zali daremne jest moje kochanie?

Fiammetta

(załamuje ręce i z rosnącym wzruszeniem mówi następne strofki).

Daremne me kochanie,
Miesięczną srebrną nocą
Rozwarły się otchłanie,
I pani mórz zwodnicza
Przyszła po królewicza...
Rzeknie jej dziewczę z mocą:
„Mój ci jest — me pieszczoty
Wcałowały mu życie,
Mój ci jest niepożycie".
„Lecz serce, serce jest moje... włos mój je pęta złoty!"
O włosy, złote włosy,
O czary rusałczane...
Zabrała królewicza.

Zabrała go do morza...
Daremne me kochanie,
Zagasła moja zorza,
Sen mój już się nie stanie...
O włosy, złote włosy,
O czary rusałczane...
Tęsknota mię pożera...

Lucaniolo (powtarza)

O włosy, złote włosy,
Tęsknota mię pożera...

(z jękiem ukrywa twarz w dłoniach).

Ascanio

(do Fiammetty)

znaczą tyleż, co zaprzańcy narodowi. Wolnomyśliciele, postępowcy tudzież wszelkie żywioły szczerze demokratyczne — są gorsi, według tegoż słownictwa, od cudzoziemców, figurują bowiem w rubryce "wrogów wewnętrznych". Co się tyczy zwolenników Polityki Realnej, to los ich na szali sądów endeckich wahał się rozmaicie: zrazu namiętnie odtrącani przez endecję od łona ojczystego, w następstwie równie namiętnie zostali do łona owego przygarnięci.

Uwzględniając jednakże wszelkie zastrzeżenia, ograniczenia i stopniowania w kwalifikacjach na autentycznego Polaka, wypadnie uznać, że miano prawdziwego syna ojczyzny przysługiwać może jedynie Narodowemu Demokracie, i nikomu więcej.

Świętochowscy tedy, Krzywiccy, Radlińscy, Malinowscy, Niemojewscy, Żeromscy, — wraz z całymi grupami społecznymi, jakie każde z nazwisk owych reprezentuje pod względem bądź politycznym, bądź też naukowym, lub wreszcie artystycznym, według kanonów endeckich, uznani i ogłoszeni zostali za cudzoziemców, za żywioły obce, wysoce szkodliwe i wrogie. Jako zaś cudzoziemców, traktowano ich ściśle podług nadmienionych reguł. Nie krępowano się wobec nich żadnymi względami. Organizowano przeciwko nim gawiedź uliczną; ścigano ich fałszem, obmową, podstępem. Dowodzenia pokrywano krzykiem; przestrogi topiono w zgiełku samoreklamy; myśl miażdżono ciężarem i bezwładem masy; uderzono w ton najpospolitszych gustów, trafiając w wężowisko dzikich i ślepych instynktów motłochu; sięgnięto aż do epoki Saskiej, aby ozdobić swój sztandar najponętniejszą brawurą nałogów szlacheckich.

Kto nie z nami, ten idzie przeciwko nam! A kto przeciw nam, ten idzie przeciwko ojczyźnie: — oto było hasło, którym rządziła się Nar. Demokracja. Przez rozdawanie certyfikatów na patrjotyzm i polskość, usilnie parła do rozbicia kraju na szereg odrębnych niemal narodów, śród których sama chciała zająć stanowisko niejako narodu panującego. Ona rozpętała i uświęciła hydrę nienawiści partyjnej, podnosząc dziki instynkt barbarzyństwa do godności metod politycznych. Ona nie miała ani jednego słowa nagany dla rozwydrzonej przez siebie gawiedzi, ciskającej gradem kamieni w Ludwika Krzywickiego, czasu wyborów do wtórej Izby. Ona wreszcie z czeluści zwyrodnienia dobyła tyle odwagi i cynizmu, aby, na wiecu politycznym, chełpić się publicznie zbrodnią przelewania krwi bratniej, w starciach międzypartyjnych.

I to się dzisiaj mści na niej bezlitośnie!

P. Roman Dmowski przez szereg lat demonstrował zjawisko osłaniania imieniem ojczyzny, *która nigdy z ust jego w głębinę serca nie schodziła*, najciemniejszych szalbierstw politycznych, nizkich praktyk samolubstwa, przebiegłości, interesu koterji, a nadewszystko karlej, przyziemnej ambicji płaza. On w majestat ojczyzny ubierał się jak w szlafrok, za którego zanadrzem skrywał nie dobro narodu, ale rachuby własne, lub co najwyżej, nadzieje stronnicze. Wołając ustawicznie: „Ojczyzna! Ojczyzna!" spopolitował i zacieśnił jej pojęcie do miary nikłych, powszednich trosk i marnych, chwilowych zysków.

I to, z kolei, mści się na nim nieubłaganym okrucieństwem skutku.

Ginie on dzisiaj od pocisku, wykutego w własnej jego partyjnej kuźnicy.

Tyle razy sam on, wódz niezaszczytnej wyprawy, zamykał dobro narodu we frazesie, a frazes następnie przekuwał w zatrutą strzałę, którą godził w przeciwnika, iż musiał wreszcie znaleźć naśladowcę, który z równą konsekwencją spróbował ideę, na swój sposób pojętego dobra narodu, zamknąć w echu wymierzonego mu przez siebie policzka.

Jest to krok niewątpliwie „śmiały" na wytkniętej przez p. Romana Dmowskiego drodze „etyki narodowej!" Wszelako przyznać musimy, że plon, tak rychły i bujny, zawdzięczać należy jedynie energji i gorliwości posiewu.

Widzisz, jak tęskni za nią...

(chwila milczenia)

(w arkadzie loggietty ukazuje się Beata, za nią Bacio del Bene. Fiammetta w przerażeniu wpatruje się w nią).

Lucaniolo

(zrywa się i staje olśniony)

O czary rusałczane,
Zali się sen mój wyśnił?

Beata

Lucanio!...

Lucaniolo

Słońce moje! oczom swym nie wierzę...

(biegnie ku niej z wyciągniętymi ramionami)

Ascanio

(do Fiametty półgłosem)

Rusałka... królewicza ci zaraz zabierze.

Fiammetta

(wpatrzona w Beatę)

O włosy, złote włosy,
O czary rusałczane,
Daremne me kochanie...

Ascanio

A widzisz?... nie mówiłem? cóż się gapisz na nią?

Fiammetta

Zagasła moja zorza,
Sen się mój już nie stanie.

Ascanio

Chodź... nie potrzebniśmy tu... ma już swoją panią...

(Fiammetta ukrywa twarz w dłoniach, Ascanio ją wyprowadza. Podczas rozmowy Ascania z Fiammettą Lucaniolo wita się czule z Beatą i jej ojcem i prowadzi ich ku fotelom).

Lucaniolo

Jutrzenko moja!... śnie promienny, złoty!
Wzeszłaś więc dla mnie odnowa na niebie?
Zasię myślałem już, że z tej tęsknoty
Zczeznąć mi przyjdzie, słoneczna, bez ciebie.
Dzień i noc ciemne mi były porówno
W bezdennym żalu za moją królówną...
A ty... tęskniłaś za mną choć trocha?...

Beata

Tak pielgrzym na puszczy
Tęskni za źródlaną wodą,

Z pola walki.

Lwów, 26 czerwca.

Wybory ściślejsze w Krakowie zakończyły się zwycięztwem socjalisty dr Marka, człowieka młodego, zdolnego i cieszącego się dużą sympatją nietylko w kołach partyjnych lecz i wogóle postępowych. [1])

Wzmożenie się wpływów socjalistów w samym Krakowie i okolicach nie jest bynajmniej zjawiskiem przypadkowym, lecz łączy się ściśle z natężoną pracą kulturalną wśród mas ludowych, prowadzoną przez partję socjal-demokratyczną i uniwersytet ludowy im. Mickiewicza; działalność ta podniosła znacznie poziom umysłowy mas, ułatwiając im orjentowanie się we własnych sprawach, oraz w ogólnej sytuacji politycznej.

Wielce dodatnim rezultatem ostatnich wyborów jest zupełny upadek Stojałowskiego i jego grupy, znajdującej się w nader ścisłym sojuszu z narodową demokracją. Tak więc, rola tego wstrętnego demagoga i szarlatana politycznego jest już skończona. Upadła podobnież grupa posła Kozłowskiego, zbliżona z podolakami i narodową demokracją, chociaż przywódca jej wejdzie do parlamentu.

W pierwszym okręgu we Lwowie wyszedł z tryumfem, ogromną większością głosów członek Pol. Str. Post. Hipolit Śliwiński. Czytelnikom *Prawdy* nazwisko to jest bardzo dobrze znane.

Wszystkie żywioły konserwatywne i wsteczne złączyły się, aby powalić tego dzielnego i zasłużonego obywatela, i poprzeć wstrętnego klerykała dusigrosza i wyzyskiwacza chorych i ich rodzin — znanego operatora dr. Rydygiera. Nawet demokracja polska, aż do ostatniej chwili, nie chciała w organie swoim (w *Gazecie Wieczornej)* oświadczyć się wyraźnie za Śliwińskim, z obawy narażenia się sferom konserwatywnym, i zrobiła to dopiero w przededniu wyborów pod naciskiem wice-prezydenta Rutowskiego, starego i zasłużonego demokraty. Narodowa-demokracja wyła wprost z wściekłości, że Śliwiński może być wybrany.

Wejście Śliwińskiego do parlamentu jest wielkim zwycięztwem prawdziwej demokracji i postępu. Publiczność lwowska przyjęła z ogromnym entuzjazmem wiadomość o wyborze Śliwińskiego. Parotysięczny tłum z muzyką i pochodniami urządził wspaniały pochód, przez najruchliwsze ulice miasta, do mieszkania nowoobranego posła celem zgotowania mu serdecznej owacji. Kto widział ten tłum, kto słyszał, płynące z głębi serca, okrzyki na cześć Śliwińskiego, ten nie miał żadnej wątpliwości, że jest on nietylko wysoko szanowany, lecz i kochany przez najszersze koła ludności stolicy kraju.

Tak więc, dotychczasowe wybory dały Kołu Polskiemu dwu posłów, należących do Pol. St. Post.

Do posłów tych przyłączy się dr. Gross z Krakowa. Prawdopodobnie też przybędzie jeszcze jeden członek Pol. Stron. Post. przy wyborach ponownych w jednym z okręgów. Sprawa ta rozstrzygnie się w najbliższym czasie.

Prof. Starzyński, jeden z najzaciętszych wsteczników, podolak i przyjaciel narodowych demokratów, kandydat osławionej Rady Narodowej — padł sromotnie przy wyborach w Żółkwi, Rawie Ruskiej i innych miejscowościach. Przeciwnik jego Steinhaus kon. zach. galic. i kandydat namiestnika zwyciężył.

W chwili, gdy to piszę, dymisja dr. Weisskirchnera i Głąbińskiego została już oficjalnie ogłoszona; wiadomo też, że bar. Binerth z całym gabinetem podał się do dymisji. Misję utworzenia nowego rządu cesarz powierzył bar. Gautschowi, liberalnemu i zręcznemu mężowi stanu. Jest to dobra bardzo wróżba dla nowego parlamentu.

Ludwik Kulczycki.

[1]) Demokracja Krakowska popełniła ciężki błąd, wystawiając przeciwko Dr. Markowi niefortunną kandydaturę Dr. Doboszyńskiego, pseudo-postępowca i pseudo-demokraty, nie obdarzonego nadto ani talentem ani charakterem. O ile wiemy uczciwi demokraci i postępowcy, nie będący bynajmniej socjalistami, mając do wyboru Dr. Marka i Dr. Doboszyńskiego, bez wahania oddali swe głosy Dr. Markowi i postąpili dobrze. Nic bowiem tak nie dyskredytuje stronnictw postępowych jak tolerowanie wśród siebie „postępowców" à la Dr. Doboszyński. (Przyp. Red.).

Ptaszę chwycone sidły —
— Za zielenią rodzimych kuszczy,
Za swobodą.
Każde drgnienie mej duszy,
Jak kamień rzucony z kuszy,
Dniem i nocą
Biegło ku tobie...
Nie czułżeś, jak w każdej dobie
Jaskółczymi skrzydły
Myśli moje wokół ciebie trzepocą?

L u c a n i o l o

Duszo mej duszy!...

(przyciska do ust jej ręce)

B a c i o d e l B e n e

Dość tych pieszczot... Beato... w powitań zapale
O celu swych odwiedzin zapominasz wcale...
Dość, mówię... nie czas teraz na te krotochwile...

L u c a n i o l o

Dostojny panie...

B a c i o

(niecierpliwie)

Książę tu będzie za chwilę.

L u c a n i o l o

(przerażony)

Książę!...

B a c i o

(klepiąc go po ramieniu)

W czepkuś się rodził snadź mości artysto,
Gdyby kto inny takie śmiał czynić grymasy,
Mir u dworu utraciłby po wszystkie czasy.
Lecz wy mistrzu, książęcą łaskę oczywistą
Zdołaliście pozyskać, widzę, nie na żarty,
Bo gdy się mistrz u dworu nie zjawia uparty,
Jego wysokość własną książęcą osobą
Odwiedzić go umyślił dzisiaj...

L u c a n i o l o

(przez zęby)

Zbytek łaski.

B a c i o d e l B e n e

Mości Lucanio, tuszę, iż cenić umiecie
Jak należy ten dowód łaski księcia-pana.

L u c a n i o l o

Oczywiście!... gotowym odstąpić ją przecie
Każdemu, kto mi zajrzy...

Literatura niemoralna a mistrzowie cnoty.

III.

(Dokończenie).

Ewolucja niemal taka sama dokonała się w stosunku do pism politycznych. Istnieją jeszcze państwa, w których zachowała się dawna doktryna wyłączna, istnieją atoli inne, w których już znikła. Anglja i Włochy, np. mają rząd monarchiczny, niemniej wszakże wolno tam głosić zasady republikańskie; Francja ma rząd republikański, wolno w niej jednak głosić zasady monarchizmu.

Prawomyślne kanony, dotyczące rodziny oraz własności posiadały byt trwalszy. Prawdopodobnie wszędzie panowałyby one dotychczas, gdyby socjaliści nie rozbili ich w proch. Musiał jednak nastąpić dzień, w którym zorjentowano się, że za pomocą wyroku sądowego niepodobna rozstrzygnąć kwestji własności indywidualnej lub kolektywnej; i tegoż dnia, prawa, narzucające w tym względzie pewną doktrynę ortodoksyjną, wypadły z użycia, aby rychło ulec zniesieniu.

Niekiedy wiara w doktrynę ortodoksyjną osłania się względami użyteczności. Dzieje się to osobliwie wówczas, gdy wiara ta przestaje już być powszechną i zachodzi potrzeba zniewolenia przeciwników do przyjęcia jej konsekwencji. W ten sposób np. usprawiedliwiano odwołanie Edyktu Nantejskiego: nie potrzebą obwarowania *prawdziwej* religji, którą jest religja katolicka, ale względami *pożytku*, jaki osiąga kraj przez jednolitość wyznania.

Ustanawia się wreszcie pewne stopniowanie w szeregu rozmaitych doktryn, przyczym, w razie grożącego im niebezpieczeństwa, czyni się wybór, poświęcając na zagładę mniej ważne, i ratując donioślejsze. Niegdyś rządy katolickie bardzo były surowe na punkcie dogmatu, mniej natomiast na punkcie sprośności. A nawet, rzecz szczególna, religję można było napadać jedynie pod osłoną sprośności.

Gdyby Rabelais, albo Boccacio w pismach poważnych ważyli się powiedzieć to samo, co mówili w swych ciętych żartach, spalonoby ich na stosie, albo wtrącono do lochu. Ale jakże było na serjo brać wesołków, którzy tak uciesznie prawili rzeczy lubieżne? jakże gniewać się na nich?

Sprośność posłużyła także Wolterowi za tarczę dla zmniejszenia niebezpieczeństwa jego napaści na religję panującą.

Obecnie role się odwróciły. Można krytykować religje, burzyć ich *tabu*; natomiast trzeba szanować *tabu* czystości. Państwo pozbyło się już na zachodzie kanonów, dotyczących ustroju społecznego, wszelako zachowało jeszcze kanony co do uczuć płciowych. Można wystawić w kjosku dziennik anarchistyczny, w którym jest mowa, że „proletarjusze powinni brzuchy rozpłatać burżujom"; niewolno zato wystawić obrazu kobiety nagiej.

2) Na biegunie przeciwległym stoi państwo, które w treść utworów wcale nie wgląda, a za cel jedyny stawia sobie zapobieganie zamieszkom, które z ich rozpowszechnienia mogłyby wyniknąć, a więc tylko dąży do utrzymania pokoju między różnymi grupami przekonaniowymi.

Z tego stanowiska, nietylko państwo nie posiada żadnej doktryny ortodoksyjnej, ale może ono, bez sprzeczności ze sobą, zabraniać w jednym miejscu tego, na co w innym pozwala. Państwo chrześcjańskie, mające w swym władaniu np. kraj muzułmański, zabraniać będzie w tej kolonji wyszydzania islamu, natomiast pozwoli na nie u siebie.

W takich wypadkach rząd prześladuje właściwie nie sam utwór, ale zaburzenie, które powoduje on w pokoju społecznym. Dopóki zaburzeń niema, przestępstwo nie istnieje.

Przestępstwo, polegające na zaburzeniu ładu społecznego, zawiera w sobie dwa pierwiastki zasadnicze. Naprzód, utwór musi być tego rodzaju, aby wywoływał silne oburzenie w znacznym odłamie ludności, i następnie, trzeba aby był nastręczony ogółowi, pośrednio lub bezpośrednio, przez rozpowszechnianie w miejscach publicznych.

Jeśli przypuścimy obecność pierwszego tylko pierwiastku, staniemy wobec poprzedniej zasady (1). Osoby, posiadające żywą wiarę w pewną doktrynę, będą się zawsze silnie oburzały, gdy ktoś zacznie krytykować lub wysmiewać tę doktrynę. Aby uniknąć tego, jeden tylko jest środek: aby państwo przyjęło ową doktrynę za swoją i broniło jej przeciw wszelkim napaściom,

Jeżeli wszakże i drugi pierwiastek jest koniecz-

Bacio del Bene

Mości Lucaniolo!

Beata

(z wyrzutem)

Mistrzu!

Lucaniolo

I ty, Beato?... Ty, co znasz mą duszę?...
Wiesz, jak pragnąłbym wielbić... cóż gdy gardzić [muszę,
Tym, co niegdyś wielbiłem...

Bacio

To rzecz niesłychana,
Zaiste, upór zgoła dziwny, niepojęty,
By dworzanin jakoweś księciu czynił wstręty.

Lucaniolo

Mości panie, jam rzeźbiarz, a nie dworak żaden,
Rozrządzać mą osobą książe nie jest właden.
Trwałem przy jego boku, póki to z mą wolą
Zgodnem było... odchodzę — snadź tak mi potrzeba,
Gdy mi się czyny księcia podobać przestały;
Jestże po tęga w świecie, co zmusić mię może,
Bym, czyniąc gwałt swej duszy, pozostał przy dworze?

Bacio del Bene

To jest niewdzięczność... resztą, któż z nas jest tak [śmiały,
Że czyny księcia sądzi, co gorsza przygania?
Nie przystoi nam zgoła mieć w tej mierze zdania.

Lucaniolo

Mówcie za siebie, panie...

Bacio del Bene

Kto mówi?.. O nieba,
Słyszaneż to są rzeczy, by marny artysta
Śmiał się tak puszyć!..

Beata

Ojcze!..

Lucaniolo

Hamujcie się panie!

Bacio

Więc dla tego że imć pan z łaski księcia korzysta,
Mniema się być już wyższym, niż szlachcic rodowy,
Pan z panów...

Beata

Ojcze, błagam...

Bacio

Daj pokój, dziewczyno,

ny, to wówczas państwo nie bywa obowiązane mieć jakąś doktrynę ortodoksyjną; ogarnia ono wszystkie doktryny i żąda od nich tylko tego, aby w swym rozwoju i ekspansji nie wywoływały między sobą starć nazbyt gwałtownych.

Vilfredo Pareto przytacza szereg niezmiernie charakterystycznych przykładów, które w sposób konkretny uwydatniają przepaścistą różnicę dwóch metod, wyżej określonych.

Oto katolicy przychodzą ze skargą, iż protestanci sprzedają przekłady Biblji na języki nowoczesne: rząd, stojący na stanowisku bezdogmatycznym (2) odpowie im poprostu: „Nie kupujcie owych przekładów!" Gdyby zaś protestanci skarżyli się na to, że kult katolicki jest bałwochwalstwem, które uczucia ich obraża, dałby im odpowiedź: „Nie chodźcie do kościołów katolickich!" Jeśli natomiast katolicy poprzybijają na ulicach inseraty z napisem: „Luter był zwykłym kuglarzem", protestanci zaś odpowiedzą na to rozlepieniem innych inseratów, głoszących: „Papież jest kuglarzem": wówczas rząd natychmiast każe pozdzierać inseraty katolickie oraz inseraty protestanckie i zniewoli zapalczywych przeciwników do pomiarkowania zapędów wojowniczych, albo przynajmniej toczenia wojny orężem cokolwiek dworniejszym.

Taki sposób roztrzygania sporów, oczywiście, nie odznacza się ścisłością, ale to wynika już z samej natury rzeczy, które tu się roztrzyga. Zjawisko zgorszenia, albo nastręczania uwadze ogółu pewnego utworu, pozostanie zawsze, do pewnego stopnia, rzeczą nieokreśloną. Uniknąć tej nieokreśloności niepodobna, jeżeli nie chcemy cofać się ku pierwszemu stanowisku (1) i ustanawiać inkwizycji państwowej, przestrzegającej we wszelkich drobiazgach, choćby najbłahszych, doktryny ortodoksyjnej. Jest to, wistocie, stanowisko, zajęte przez kościół katolicki; kościół ów obarczono, z tego powodu, mnóstwem zarzutów: niemniej stanowisko takie musiał on zająć, jako dlań nieuniknione, skoro weźmie się pod uwagę doktrynę katolicką.

Ludzie, naogół, zdradzają nieprzepartą dążność powracania ku stanowisku (1) doktryny ortodoksyjnej, nawet wówczas, gdy pozornie zajmują stanowisko (2) obrony pokoju społecznego. W tym celu uciekają się do rozmaitych sofizmatów, byle zatrzeć ślady niekonsekwencji.

Sofizmat najczęstszy polega na zupełnym pomijaniu pierwiastku wtórego (2) i nadzwyczajnym przesadzaniu doniosłości pierwszego.

Za przykład posłużyć może wystąpienie do Senatu kardynała de Bonnechose, w r. 1864 z żądaniem represji przeciwko dziełu Renana p. n.: „Żywot Jezusa". Kardynał motywował żądanie swe tymi słowy: [1] „Prawo jest formalne; karze ono za wszelką obrazę moralności powszechnej i religijnej.

„Jakaż jest najcięższa z obelg, którymi człowiek może dotknąć człowieka? Czyż nie będzie nią zarzucenie komuś kłamstwa? Przebóg! zniewagę taką krew tylko zmyć może. A tymczasem, cóż innego czyni Renan względem założyciela religji naszej? Zarzuca mu kłamstwo; powiada doń: kłamałeś, mówiąc iżeś czynił cuda, albowiem ich nie czyniłeś! kłamałeś, utrzymując iżeś jest synem bożym, albowiem byłeś synem człowieka! kłamałeś, mówiąc, iż zmartwychwstaniesz, albowiem nie wstałeś z grobu! Cóż to znaczy, że praca dokonana została na zimno, pod osłoną obłudy? To powiększa stokroć jej występność. Kościół domaga się kary!"

Odpowiadał przeciw oskarżeniu Delangle, biorąc atoli sprawę powierzchownie, nie zaś zasadniczo Argumentował jak adwokat, broniący klijenta, nie zaś jako mąż stanu. Zaprzeczał, jakoby w dziele Renana znajdowały się obelgi lub wymysły. Lecz bez odpowiedzi pozostawił spostrzeżenie kardynała de Bonnechose, że książka, bez obelg i wymysłów, była tym niebezpieczniejszą.

Właściwa odpowiedź, jaką należało dać kardynałowi, polegałaby na tym, że, gdyby zasady jego przyjęto, to równałoby się to przyjęciu przez państwo pewnej, doktryny ortodoksyjnej, której tykać niewolno. Rzeczywiście, jakabykolwiek była owa doktryna, każdy, kto choć w jednym punkcie się z nią nie zgadza, tym samym wypowiadać będzie sąd że osobnik, potwierdzający ów punkt, nie mówi prawdy; i jeżeli to wystarcza, aby wywołać oburzenie śród zwolenników owej doktryny i sprowadzić represje państwowe, to lepiej, zaiste, bez wszelkich kruczków obłudy, ogłosić w drodze prawodawczej bezwględny zakaz tykania tej doktryny.

Inny znów sofizmat polega na wysuwaniu *in-*

[1] Emile Ollivier: „L'Emp. liberal", VI, str. 497.

Imci artyście, widzę, uderzył do głowy
Fawor książęcy niby zacne stare wino...
Niech się nie wbija w dumę... na pstrym koniu hasa
Łaska pańska i nigdzie długo nie popasa.

Lucaniolo

Nie dbam o łaskę księcia, niech gdzie chce zagości,
Jam nie dworak, by zbierać z pańskich stołów kości.

Bacio

Ha tego już zawiele... więc któż jesteś, proszę?
Rzeźbiarz, wielka figura... pytam się w pokorze,
Jakie znaczenie imci byłoby artysty,
Gdyby nie łask książęcych dowód oczywisty,
Gdyby nie jego wola, która cię przy dworze
Nad godnieszych wyniosła... imć pan sądzi może,
Iż ktośby się obejrzał na kamienioroba?

Lucaniolo

Panie...

Beata

Na Boga...

Lucaniolo

Dla ciebie to znoszę.

Beata

Ojcze, przez litość, błagam, zostaw nas na chwilę...
Niech sama z nim pomówię...

Bacio

Rób coć się podoba...
Lecz wiedz, jeżeli księcia nie przywita mile,
Jeśli w najmniejszej rzeczy chybić się ośmieli,
Między nami skończone wszystko...

(wychodzi)

(Lucaniolo chodzi wzburzony po pracowni)

Beata

(dochodzi doń i mówi z czułością)

Lucaniolo!..

Lucaniolo

Wybacz, jedyna... uniosłem się pono...
Strasznie mię słowa twego ojca kolą...
O... te przymówki...

Beata

(opiera głowę na jego ramieniu)

Cierpliwości, drogi,
Niedługo już będą trwały...
Gdy zostanę twą żoną,
Cóż nam świat cały?

teresu dzieci, i posługiwaniu się nim celem ominięcia wtórego pierwastku (2) przy rozwiazaniu sporu. Dzieci, — powiadają stróże cnoty, — należy strzedz od wpływu złych książek; w tym celu, nie wystarcza zakaz wystawiania ich na widok powszechny; trzeba zakazać ich pisania i przedaży; w przeciwnym bowiem razie.jakiekolwiek przedsiębralibyśmy zabiegi, dzieci w końcu zawsze dobiorą się do owych pism. W ten sposób sztuczka się udaje, i osoby narzucające owe stanowisko, niepostrzeżenie cofają nas ku teorji doktryny ortodoksyjnej, a więc nietykalnej.

Gdyby istotnie usiłowania mistrzów cnoty, strzegących niewinności dziecięcej, przyoblekły się w sankcję zakazów prawno-państwowych to wówczas, przedewszystkim należałoby skonfiskować wszystkie niemal arcydzieła literatury powszechnej, albo też przystroić je w listki figowe, tworząc „edycje dla dzieci", które miałyby zapewniony sukces... śmieszności.

Nasamprzód ofiarą rygoryzmu padłby Dante Alighieri, który w swej „Komedji boskiej" zawarł wiele ustępów, mogących „zgorszyć małe dzieci"; są w niej nawet dwie całe pieśni (Piekło, XVI i XVII) których lepiej, aby „dzieci małe" nie czytały.

Cóż mówić o tragiedjach Szekspira? To pewna, se „Orland oszalały" Ariosta winien być poddany ściżłej rewizji celem zoperowania miejsc gorszących. Co zaś do „Dekameronu" Boccacia, to wątpliwość może polegać tylko na zawahaniu się, czy należy go spalić czy też utopić?

Śród naszych pisarzy klasycznych, nieulega wątpliwości, że z podobnej kąpieli moralizmu nie wyszliby cało ani dostojny Jan z Czarnolosu („Fraszki") ani Stanisław Orzechowski, podejmujący walkę z celibatem księży, ani — chluba ery Stanisławowskiej — Trembecki, wytworny śpiewak „Zofjówki".

Być może, powie nam ktoś, że w tych i tym podobnych wypadkach, nie zachodzi fakt zgorszenia, gdyż „dzieci małe" nie rozumieją sprośności owych utworów. Trzeba atoli wziąć pod uwagę to, że, wstępując na tę drogę, przyjdziemy do wniosku, iż utwór tym mniej prześladować należy, im jest nieprzyzwoitszy, albowiem objawy najgłębszego zepsucia bywają najmniej właśnie dostępne duszom czystym.

Możnaby jeszcze próbować ocalić zakwestjonowane ustępy, dowodząc, że, aczkolwiek forma ich jest lubieżna, to myśl jest czysta, a myśl jedynie brać powinniśmy w rachubę. Dowodzenie to wszakże nie na wieleby się przydało. Mamy wielu autorów, których dzieła konfiskować byłoby barbarzyństwem, mimo to, że ich forma i treść jednakowo bywa sprośna. Trudno byłoby np. utrzymywać, że tylko język i styl jest rozwiązły w utworach Rabelais'a, w wielu dziełach Woltera, w „La maison Tellier" Maupassant'a, w niejednym ustępie „Rozkoszy" d'Annunzia, i w mnóstwie innych utworów podobnych.

Sofizmat, powoływający się na „dobro dzieci", nie jest nowy. Posługiwano się nim oddawien dawna. W r. 1878 pisarz włoski Stecchetti drwił zeń bardzo dowcipnie: „Istnieją na tym świecie młode dziewczęta — powiadał, — trzeba przyznać to z bólem serca. Ale czyż dla tego, że one istnieją, mamy pisać wyłącznie tylko dla nich, i pisać w ten sposób, aby, gdy czytać nas będą, nie czuły najmniejszej pokusy? Zbyt wielkie to wymagania. Ferdynand Martini dał doskonałą radę: Wydajcie wreszcie za mąż te kochane dziewczęta, abyśmy raz nakoniec mogli swobodnie pisać o rzeczach tak, jak one się przedstawiają".

Mistrzowie cnoty z patosem prawią kazania przeciwko *obrazie moralności*. Atoli fałsz tego patosu polega na dwuznaczności słowa *obraza*. Moralność obrażać można czynem lub słowem, — są to dwa rodzaje całkiem różne. Rozumiemy doskonale, iż rządy zwalczają rodzaj pierwszy, wszakże nie powinny wzbraniać drugiego. W ten sposób, w większości krajów oświeconych, wielożeństwo np. bywa zakazane, niemniej pochwała lub nawet głoszenie tegoż nie uchodzi za przestępstwo. Rząd Republiki Francuskiej nie pozwala monarchistom wszczynać buntu, nie broni im jednakże szerzenia idei monarchicznej. Rząd cesarski mógł niedopuszczać do urzeczywistnienia ideałów Baudelaire'a, nie wkraczał jednak stopą zbrojną w dziedzinę wypowiadanych słów, myśli i przekonań. A tymczasem stopa owa depce wolność dziedziny tej zawsze, ilekroć rząd prześladuje jakąbykolwiek opinję. Jeśli tego brutalnego aktu przemocy i poniewierki nie dostrzega się stale, to jedynie dla tego że uczucie mgłami swymi przesłania rozum: zazwyczaj odmawiamy, najdowolniej w świecie, miana *przekonań* pewnym kierunkiem myśli, które nas przejmują zgrozą. Jest to sofizmat na każdym kroku spotykany w życiu.

Zasada wyłącznej doktryny ortodoksyjnej, ujmu-

Lucaniolo

(przyciska ją gwałtownie do piersi)

O, droga!.. nigdy nie będziesz wiedziała,
Jak srogą męką miłość twą opłacam!..

Beata

Lucaniolo, ty mnie już nie kochasz wcale...

Lucaniolo

Tyż to mówisz?.. Ty, która znasz każdy zakątek
Mej duszy i wiesz, jaki rozpiera ją wrzątek?
Beato!.. zaliż nie wiesz, żeś ócz mych źrenicą?
Zmartwych budzącą dla mnie żywej wody strugą?
Złotopromiennem słońcem mojego żywota?

Beata

A jednak tak długo...
Och, dni i noce bez końca,
Żyłeś bez tego słońca...
Beze mnie...
I nie przyprowadzała cię ku mnie
Tęsknota...

Lucaniolo

Jam li nie tęsknił? jam li dni i nocy
Wsród trosk i żalów nie targał się piekła?
Szarpałem duszę, aż krwią mi ociekła.

Beata

Czemużeś dumnie
Stronił od nas?.. przecz oczyma stęsknionemi
Daremnie
Cię wyglądałam?...
Usychałam...
Tak kwiat rosy pozbawiony,
Chyli się ku ziemi
I płatki barwnej traci korony.

Lucaniolo

Mógłżem przyjść?... zaliż nie zerwałem z dworem?...
Bacio del Bene mógł przyjąć za zięcia
Artystę — gdy był ulubieńcem księcia.
Lecz gdy jedynym tytułem do chwały
Są dzieła, które rzeźbi jego dłuto,
Magnackiej córki pożądać uporem
Byłoby dziwnym... był że by tak śmiały?...
Ha, ha, ha... psami by go wnet wyszczuto.

jącej w karby żelazne myśl narodową i społeczną, i pochylającej miljony głów w jedną stronę ciasnego przesądu, wiąże się zawsze z wiarą w istnienie jednej tylko moralności, jednego powszechnego kanonu myślenia i postępowania.

Rzeczywistość atoli wskazuje nam naocznie, że systemów moralności jest wiele: wiedza umiejętna innego w tym względzie świadectwa dać nie może. Skoro zaś jest tak, to oczywista konsekwencja wymaga aby moralność stała się udziałem indywidualnego przekonania, jak rzeczą również osobistych przekonań stała się religja i polityka. Nic nie zdoła usprawiedliwić różnicy w sposobie traktowania tych trzech funkcji duchowych człowieka, chyba, że przypuścimy dziwaczną zasadę, iż państwo utraciwszy doktrynę ortodoksyjną, narzucaną ogółowi w zakresie religji i polityki, zachowało ją nadal w zakresie moralności.

Wszelako długi łańcuch wieków dzieli nas od rygoru Ojców Kościoła, którzy byli przeświadczeni o posiadaniu prawdy bezwzględnej, i także wierzyli, iż posiedli moralność bezwzględną. Dowodzili oni obszernie, i mieli słuszność, że moralność chrześcijańska różni się biegunowo, co do obyczajów, od etyki pogańskiej. „Apud gentiles, — pisał niegdyś św. Tomasz, — fornicatio simplex non reputabatur illicita propter corruptionem naturalis rationis; Iudaei, autem, ex lege divina instructi, eam illicitam reputabant".

Prawodawcy Kościoła czerpali pono z „prawa bożego" swe nakazy; ale skąd czerpią natchnienia dzisiejsi mistrzowie cnoty, usiłujący cofnąć nas olbrzymim rzutem wstecz ku teorji jednej wyłącznej moralności, z której uczynić chcą doktrynę ortodoksyjną, przez państwo narzucaną?

Starożytność klasyczna krępuje ich niepomiernie. Uciekają się oni do wszelakich sztuczek, by ją uprzątnąć z pola widzenia. Chciałoby im się dowieść, że *tabu*, które oni pragną narzucić, nie jest ich wytworem, ale zawsze było przedmiotem poszanowania ze strony „ludzi uczciwych", od wieków starożytnych aż po dzień dzisiejszy.

Być może, ubodzie to uroczystych obrońców cnoty, niemniej dowodzenie ich nazwać musimy kłamstwem.

Wystarczy jedno spostrzeżenie, aby wykazać z całą wyrazistością, że moralność pogańska różniła się zupełnie, pod względem obyczajów, od moralności obecnej. Oto w Neapolu odczuto potrzebę zamknięcia w osobnym muzeum przedmiotów codziennego użytku, dobytych z wykopalisk Pompei. Skromność nowoczesna uczuła się obrażona widokiem rzeczy, którymi mieszkańcy Pompei posługiwali się zwyczajnie w powszedniej gospodarce domowego ogniska.

Gdyby trzeba było więcej dowodów, znalazłoby się ich snadnie pod dostatkiem. Zastanówmy się, jakby wyglądały na scenach dzisiejszych komedje Arystofanesa w przekładzie dosłownym? A czyż, zapytajmy jeszcze, mogłyby dziś być tolerowane takie np. „Falloforje", obrzęd świątalnej procesji, w której dziewczęta młode postępowały orszakiem uroczystym w ślad za godłem płodności męskiej? Cóż powiedzielibyśmy na widok zmartwychwstających w ogrodach naszych Priapów, które niegdyś ogrodów strzegły?

Z drugiej zaś strony, Grecja i Rzym zajmują w dziejach ludzkości stanowiska wielkie i zaszczytne; nie ulega tedy wątpliwości, że etyka ich, jakabykolwiek była, szła bądź co bądź w parze z wybitnymi zaletami we wszelkich gałęziach działalności ludzkiej.

To bynajmniej nie dowodzi, aby etyka starożytna doskonalsza była, ani nawet równie dobra, jak etyka nowoczesna; każdy, ktokolwiek zapragnie, może utrzymywać nawet, że etyka dzisiejsza niepomiernie przerasta wszelkie systemy moralności czasów przeszłych i przyszłych. Ale to właśnie wskazuje, że istnieje w tej dziedzinie szerokie pole do rozprawy. Państwo, narzucające w owej dziedzinie własne stanowisko, działa w ten sam sposób, jak państwa dawne, narzucające swym poddanym urzędowe panteony bogów, których cześć trzeba było wedle również urzędowych kanonów.

W. Rzymowski.

BADANIA NAUKOWE.

Prawda a Rzeczywistość.

(Rzecz o istocie pragmatyzmu).

Jakże mówić o pragmatyźmie po Williamie James'ie? I co moglibyśmy o nim powiedzieć takiego coby nie było już powiedziane, i powiedziane o wiele lepiej, w pięknym a przejmującym dziele James'a? [1])

[1]) *Pragmatism*, 1907. Polski przekład, pióra p. W. M. Kozłowskiego ukazał się w druku nakładem kasy im. D-ra J. Mianowskiego.

Beata

(boleśnie)

O Lucaniolo, niewielkiej to miary
Miłość, co z dumy nie czyni ofiary

Lucaniolo

Jam li nie złożył dumy u ołtarza
Miłości, butę znosząc dygnitarza?
O każdym czasie i na każdym kroku
Z godności swojej składałem ofiarę...
Dla ciebie, droga...

Beata

A jednak się wzdraga
Ofiarność twoja tam gdzie czynu
Miłość od niej wymaga...
Uczyń to jedno jeszcze jedyne poświęcenie
Większe w cenie
Nad wszystkie najkrwawsze,
Bo na wspólną życia drogę
Nas złączy na zawsze.

Lucaniolo

(jakby jej chciał usta zamknąć)

Beato!...

Beata

(błagalnie)

Zostań przy księciu...

Lucaniolo

Nie mogę.

Beata

Lucanio!

Lucaniolo

Nie mogę... ty wiesz, że nie mogę...

Beata

Wspomnij jedyny,
Wspomnij, jak dobrym był dla ciebie książę,
Wspomnij, co mu zawdzięczasz... zali
Nie zrównał się w dostojeństwie
Z najwyższymi dworu, ba, całej krainy?
Zali bezustannie
Nie obsypywał cię swoimi dary?...
Zaiste, złotym jest łańcuch, który cię z nim wiąże

Nie zabieralibyśmy też głosu, gdyby myśl James'a nie ulegała coraz częściej pomniejszeniu, zmianie lub fałszerstwu przez oświetlenia, jakie jej inni nadają: krąży już wiele idej takich, które stać się mogą poprostu przegrodą między czytelnikiem a książką, i roztoczyć ciemność sztuczną wokół dzieła, które jest jasne jak słońce.

Nie zrozumie pragmatyzmu James'a ten kto nie zacznie od zmiany pojęcia, jakie powszechnie wytwotworzyliśmy sobie o rzeczywistości wogóle. Mówimy o „świecie" lub o „kosmosie"; słowa zaś te, wedle swego pochodzenia, oznaczają coś, co jest proste, a przynajmniej, doskonale złożone, Mówimy o „wszechświecie", i słowo to nastręcza myśl o możliwie najwyższym zjednoczeniu rzeczy.

Można być spirytualistą, materjalistą lub panteistą, jak również można być obojętnym względem filozofji i poprzestawać na zmyśle powszechnym: zawsze jednak wierzymy w istnienie jednego lub kilku pierwiastków prostych, za których pomocą dałby się wytłómaczyć zespół rzeczy materjalnych oraz moralnych.

Pochodzi to stąd, iż umysł nasz kocha się w prostocie. Dąży on do oszczędzania wysiłku i pragnie by przyroda urządzona była w taki sposób, ażeby odtworzyć ją można było w myśli kosztem najmniejszego wydatkowania pracy. Z góry tedy zakłada on istnienie tylu właśnie pierwiastków i zasad, ile mu potrzeba dla odtworzenia, przy ich pomocy, nieograniczonego szeregu przedmiotów i zdarzeń.

Wszelako, gdybyśmy, miast umysłowego odtwarzania rzeczy ku zadowoleniu swego rozumu baczyli pilnie a poprostu na to, co daje nam doświadczenie, to wówczas myślelibyśmy i wyrażalibyśmy się zupełnie inaczej. Umysł nasz, nawykły do oszczędzania, wyobraża sobie skutki jako ściśle odpowiadające przyczynom, gdy tymczasem przyroda, która bywa marnotrawna, kładzie w przyczynę o wiele ponadto, co jest potrzebne dla spowodowania skutku. Dewiza naszego postępowania brzmi: *Tyle właśnie ile potrzeba*, gdy tymczasem dewizą przyrody jest: *Więcej, niż potrzeba*, — zbyt wiele form, zbyt wiele sił, nazbyt wiele wszystkiego. Rzeczywistość, taka, jaką James ją widzi, jest nadmiarem, przelewającym się przez brzegi. Między tą rzeczywistością a rzeczywistością, odtwarzaną przez filozofów, sądzę, ustaliłby on ten sam stosunek, jaki zachodzi między naszym życiem powszednim, a tym, które aktorzy przedstawiają, wieczorem, na scenie. W teatrze, każdy mówi tylko to, co należy powiedzieć, i czyni to tylko, co należy uczynić; przesuwają się sceny z góry zakrojone; sztuka ma początek, ma środek, ma zakończenie, wszystko zaś zwarte jest najoszczędniej z uwagi na rozwiązanie, które będzie szczęśliwe lub tragiczne. W życiu, atoli, mówi się mnóstwo rzeczy niepotrzebnych, niema położeń całkiem wyraźnych; nic nie odbywa się tak poprostu, ani tak całkowicie, ani tak ładnie, jakbyśmy sobie życzyli; sceny zachodzą jedna na drugą; rzeczy nie mają początku ani końca; niema rozwiązania, któreby w zupełności zadowalało; niema gestu któryby ostatecznie roztrzygał; niema owych słów, które uderzają w sedno i zamykają sprawę: wszelkie efekty zostają chybione. Takie jest życie ludzkie. I taka jest niezawodnie, w oczach James'a, rzeczywistość wogóle

Doświadczenie nasze, rzecz jasna, nie jest czymś niespójnym. Jednocześnie podając nam rzeczy i zjawiska, odsłania ono zarazem przed nami związki między rzeczami, oraz stosunki między zjawiskami: stosunki owe równie są rzeczywiste, równie bezpośrednio dostrzegalne, według Williama James'a, jak rzeczy i same zjawiska, Stosunki te wszakże bywają chwiejne, rzeczy zaś, niejako, znajdują się w stanie płynnym. Daleko stąd do owego suchego wszechświata, który filozofowie budują z pierwiastków ściśle dobranych, i w którym każda część wiąże się nietylko z inną częścią, jak pokazuje nam doświadczenie, ale ponadto jeszcze, jak żąda rozum nasz, ustosunkowana jest z Całością.

„Pluralizm" Williama James'a, posiada to tylko znaczenie. Starożytność wyobrażała sobie świat, jako zamknięty, dokonany, skończony: jest to hypoteza, odpowiadająca pewnym wymogom naszego rozumu. Świat nowoczesny zwraca się raczej ku nieskończoności; jest to inna hypoteza, zaspokajająca inne potrzeby naszego rozumu. Ze stanowiska, które James zajmuje, czyli ze stanowiska czystego doświadczenia albo „empiryzmu radykalnego", rzeczywistość nie przedstawia się ani jako skończona, ani jako nieskończona, lecz poprostu jako nieograniczona. Płynie ona jak rzeka: wszelako nie potrafimy orzec, czy płynie w jednym jakimś kierunku, ani nawet, czy wszędzie i zai zawsze ta sama płynie rzeka.

Rozum nasz niechętnie godzi się z tego rodzaju stanowiskiem. Niewygodnie czuje się on w takim świecie, w którym, jakby w zwierciadle, nie znajduje swego odbicia. I, żadnej nie ulega wątpliwości, doniosłość rozumu ludzkiego doznała uszczerbku. Do-

---

Lucaniolo

(z wybuchem)

A.. dławi mię ten łańcuch... żywym ogniem pali,
Jak koszula Nessusa... wyżera mi duszę...
Nie, nie zaznam spokoju, póki go nie skruszę
I starganych mu ogniw nie rzucę pod nogi

Beata

(przerażona)

Przez litość... nie czyń tego... nie czyń tego, drogi...
Nie wykopuj przepaści między nami.

Lucaniolo

Muszę.
Nie mogę dłużej... nie mogę... Beato,
Zniósłbym dla ciebie męczarnie najkrwawsze...
Lecz zostać przy nim... co dnia patrzeć na to,
Jak rdza występku duszę mu przepala,
Jak on... mój książe... krwią zbrodni się kala...
A... to nad siły moje...

Beata

(ponuro)

To zerwanie
Rozdzieli nas na zawsze.

(Lucaniolo odwraca się od niej i schyla głowę na piersi)

O mistrzu mój... panie...
Błagam cię...
Tyś mi słońcem na niebie...
Tyś mi powietrzem...
Jakże mi żyć, jakże mi żyć bez ciebie?

(rzuca mu się do stóp)

O mój jedyny...
Krwawymi łzami
Błagam cię,
Miej litość... miej litość nademną!

D. N.

niosłość za to samego człowieka, — człowieka całkowitego, obdarzonego wolą i czuciem równie jak rozumem, — o ileż jednak na tym wzrosła!

Wszechświat, który rozum nasz w swym pojęciu zawiera, w istocie jest wszechświatem niezmiernie przerastającym doświadczenie ludzkie; właściwością bowiem rozumu jest dane doświadczenia przedłużać, rozprzestrzeniać je w drodze uogólnienia, wreszcie starać się pojąć wiele rzeczy, których nigdy oglądać nie będziemy. W podobnym wszechświecie, człowiek uznaje sam siebie jako grającego rolę niewielką i zajmującego mało miejsca: to co oddaje rozumowi, odejmuje on swej woli. Zwłaszcza zaś, oddawszy swej myśli władzę ogarniania wszystkiego, zmuszony bywa wyobrażać sobie wszelkie przedmioty w terminach myśli rozumującej: od swych uniesień, od swych tęsknot i pragnień, nie może on żądać wyjaśnień co do świata, w którym to wszystko co jest dlań dostępne, oznaczone przezeń zostało z góry, jako przekładalne na język czystych idej. Czuciowość jego nie zdoła oświetlić jego rozumu, ponieważ rozum uczynił on jedynym światłem.

Większość filozofów zwęża tedy pole doświadczenia od strony uczucia i woli, rozszerzając je zarazem nieograniczenie od strony myśli. James występuje właśnie z żądaniem, abyśmy zanadto nie pomnażali doświadczenia przez dodatki hypotetyczne, a także, abyśmy go nie obcinali w tym, co ma trwałego w sobie. Niezachwianie pewni możemy być tylko tego, co daje nam doświadczenie; obowiązani wszakże jesteśmy przyjmować doświaczenie w jego całkowitości, uczucia zaś nasze stanowią część doświadczenia tak samo jak nasze postrzeżenia, a za tym tak samo, jak „rzeczy". Zdaniem James'a cały człowiek winien być brany w rachubę.

I jest on wysoce w rachubę brany w świecie, który bynajmniej człowieka swym rozmiarem nie przygniata. Zdziwienie wywołała doniosłośc, jaką James przypisuje, w jednej ze swych prac, [2]) osobliwej teorji Fechnera, upatrującej w ziemi istotę niezależną, obdarzoną duszą boską. Otóż teorja owa posłużyła za dogodny środek usymbolizowania — a może nawet wyrażenia — jego własnej myśli. Rzeczy i zjawiska, z których składa się nasze doświadczenie, stanowią dla nas właśnie świat *ludzki*, niezaprzeczenie powiązany z innymi, lecz od tych innych tak oddalony, a nam tak blizki, że zmuszeni jesteśmy, w praktyce, uważać go za wystarczalny dla człowieka i samostarczalny dla siebie. Myśmy się z tymi rzeczami i z tymi zjawiskami zrośli, — my, t. j. to wszystko do czego w nas świadomość nasza się poczuwa, to wszystko, czego doświadczamy. Potężne wzruszenia nurtujące dusze w chwilach uprzywilejowanych są siłami równie rzeczywistymi, jak te, które bada fizyk; człowiek ich nie tworzy. podobnież, jak nie tworzy on ciepła albo światła. Według James'a pogrążeni jesteśmy w atmostferze, którą przenikają wielkie prądy duchowe. Jeśli wielu pośród nas stawi im opór, to znów inni dają się im unosić. Istnieją dusze, które otwierają się całe na owe tchnienia ożywcze. Są to dusze mistyczne. Wiemy, z jaką życzliwością James badał te dusze. Gdy ukazała się jego praca o „Doświadczeniu religijnym", wielu widziało w niej jedynie szereg opisów, niezmiernie żywych, i głębokich rozbiorów, — słowem, psychologię uczucia religijnego. Jakiż błąd ogromny tkwił w podobnym traktowanie myśli autora! Czyliż nie spostrzeżono, że James, w zapatrzeniu, pochylał sią tak nad duszą mistyczną, jak pochylamy się nieraz, w dzień wiosenny, aby odczuć pieszczotę podmuchu, albo nad brzegiem morza, gdy śledzimy ruch łodzi i wzdymania się żagli, aby poznać skąd idzie powiew. Dusze, gorejące zapałem religijnym doznają prawdziwie uniesień i przeistoczeń: jakże więc nie dałyby nam one możności schwytania na gorący uczynku, podobnie jak w doświadczeniu naukowym, działania owej potęgi, która unosi i przeistacza? Tu tkwi bez wątpienia, źródło, stąd wyrasta idea zarodcza „pragmatyzmu" Williama James'a. Prawdami, na których poznaniu zależy nam najbardziej, są, jego zdaniem, te które przeżywamy czynnie, które przenikają do uczuć naszych wprzód nim przenikną do myśli.

Po wszystkie czasy powiadano, że istnieją prawdy uczuciowe obok prawd rozumowych: jednocześnie też utrzymywano, że na równi z prawdami, które znajdujemy gotowe, istnieją inne, których powstaniu współdziałamy, które, po części, od naszej zależą woli. Trzeba jednak zaznaczyć, żo u James'a pogląd ów nabiera nowej siły i nowego znaczenia. Rozkwita on, dzięki właściwemu temu filozofowi pojęciu rzeczywistości, w ogólną t e o r j ę p r a w d y.

(d. n.)

Henryk Bergson (tłom. J. Tarczewski).

[2]) *A pluralistic Uniwerse*, London, 1909. Przekład franc. ukazał się w „Bibl. de Philos. scientif" pod zmienionym tytułem: *Philosophie de l'experience.*

KRYTYKA.

Z Teatru.

W trzęsawisku. Komedja w 4-ch aktach przez Antoninę Dembińską. (Teatr w ogrodzie Saskim.)

Rozkład rodziny jest ulubionym obecnie tematem sztuk teatralnych. Czy ten rozkład jest w czasach obecnych zjawiskiem tak częstym i pospolitym, jak chcą pisarze dramatyczni, na to odpowiedzieć trudniej, bo każda rodzina jest małą grupą społeczną, osłaniającą troskliwie swe tajemnice i dbałą o pozory. Pozory moralności, bądź co bądź, trwają zawsze dłużej, niż sama moralność. To jedno nie ulega wątpliwości, że pisarz dramatyczny, poszukując konfliktów i starć, zatrzymuje się chętniej przy objawach rozkładu, ponieważ rozkład ten, obejmując niejednocześnie i nie w równej mierze wszystkie osoby w rodzinie, prowadzi do walki między nimi, — do domowego piekiełka, które jest rajem dla spotrzegawczości pisarzy dramatycznych.

„W trzęsawisku" Antoniny Dembińskiej jest również sztuką, osnutą na tle rozkładu rodziny współczesnej. W rodzinie Płużyńskich, objętej wielkomiejską gorączką używania, jedyną istotą, mającą szlachetniejsze dążności, jest Regina. Osoba ta zakochała się na kilka lat przed ropoczęciem sztuki w artyście muzyku Edwardzie Pochoreckim. Po pewnym dłuższym okresie wspólnych szlachetnych rozmów i uniesień, Pochorecki, mając widocznie dość tej poezji — gotuje się do odwrotu: odsyła narzeczonej pierścień zaręczynowy — oświadczając, że jako artysta nie może się krępować związkiem małżeńskim, bo sztuka wymaga wolności. Ten banalny, a przez literatów aż do zbytku nadużywany w sztuce manewr, czyni Reginę bardzo nieszczęśliwą. Po kilku latach cierpień uznaje jednak Regina, że czas już wyjść za bogatego Leona Brzeskiego — człowieka, którego Regina szanuje, lecz nie kocha. Czas wyjść za niego, bo rodzina potrzebuje pomocy materjalnej i matka wszelkimi środkami prze ku temu zyskownemu małżeństwu. Takie poświęcenie się zarówno w życiu jak w sztuce wygląda dość mizernie i osobę poświęcającą się pozbawia wszelkiego podnioślejszego uroku: o tym, nie należy zapominać, jeżeli się chce z bohaterki swej uczynić postać zajmującą. W dalszym ciągu

sztuki Regina jest już zamężną i wbrew oczekiwaniu— niemal szczęśliwą. Jedyną chmurą jej życia jest to, że Edward znowu się zjawił i zaczyna koło niej krążyć, pragnąc odnowienia stosunku. Kiedy się spotykają — Regina odtrąca go i nazywa niewiadomo czemu — podłym. Nie zniechęca to jednak Edwarda, który stale ją atakuje. Regina w chwili słabości już niemal pada w objęcia Edwarda, gdy nagle dalszym katastrofom zapobiega oświadczenie niejakiej Laury Koreckiej, że to ona ułatwiała Edwardowi drogę do Reginy, że to ona urządzała ich schadzki.

To oświadczenie, które przecie nie może być istotną miarą wartości rozkochanego Edwarda, bo według przysłowia „niemasz złej drogi do swej niebogi" staje się powodem gwałtownego wybuchu Reginy. Otwarły się jej oczy, widzi się osaczoną jak zwierzyna na którą polują, czuje pod stopami uginające się trzęsawisko, chce się zabić, lecz kończy na tym, że... pada do nóg Leonowi i wyznaje, że... go kocha...

Główny zarzut przeciwko sztuce to niepomierna banalność i staroświeckość Reginy, mającej narówni z anemicznie przedstawionym Leonem reprezentować szlachetniejszy rodzaj człowieka. Pospolitość jej poświęcenia, bierny lub jedynie obronny stosunek do życia czyni ją niezajmującą. Dziś — jak się zdaje w epoce moralnego wyczekiwania raczej, niż moralnego przeżywania, ceni się przedewszystkim różne objawy energji życiowej, nawet energji wprost żywotnej, elementarnej i amoralnej. Stąd płynie niewątpliwe zainteresowanie się szeregiem osób ubocznych w sztuce, pożeranych żądzą użycia i przedstawionych przez atutorkę o wiele żywiej, niż moralniejsza postać Reginy. Nie budzą one żadnych wątpliwości: są mało subtelne, mało salachetne, lecz żywe i głodne. Umieją grę prowadzić z szatańskim humorkiem i reprezentują wilczy apetyt *wielkomiejski* do uciech życia, różne rodzaie eleganckich cynizmów i przytępienia moralnego. Bądź co bądź pomimo swej bezwartości etycznej są oni krokiem naprzód w stosunku do pewnej staroświeckiej senności, jaką się odznacza bierna zakrojona na modłę natur podniosłych, lecz nie dokrojona do ich miary — Regina.

Sztuka p. Dembińskiej, nacechowana znaczną sprawnością literacką, lecz zarazem brakiem ścisłej głębszej logiki, stanowiącej żelazne rusztowanie, na którem wspiera się każdy dobry dramat i komedja, — odznacza się zwykłym brakiem sztuk tego pokroju u nas: brakiem istotnie zajmującego człowieka. Prócz drobnej, złośliwej fauny autorka wprowadziła dwie osoby szlachetniejsze — Reginę i Leona, lecz obie wypadły w rysunku blado i banalnie. To może właśnie — wbrew woli autorki — stanowi najostrzejszą krytykę rodziny, wśród której naprawdę żywe i wyraziste są jedynie okazy duchowo nieskomplikowane, żarłoczne, niewybredne w doborze środków, czujące się doskonale w atmosferze kłamstw i podejść, podczas gdy istoty szlachetniejsze chorzeją w tym środowisku na anemję i nie osiągają pełni rozrostu. Słowem rodzina, jeżeli ma się dośpiewać niedopowiedziane konsekwencje sztuki p. Dembińskiej, jest wylęgarnią sprytnych piracików, którzy, łącząc zdrowy apetyt z brakiem jakichkolwiek skrupułów i szerszych celów, żerują pasożytniczo na ciele społecznym.

Leon Choromański.

Edward Milewski: **Sklepy społeczne** (rzecz o kooperacji spożywców). Lwów, 1911. str. 240.

Jest to duże dzieło, obejmujące całokształt teorji i praktyki kooperacji spożywczej. Szpecą pracę: pretensjonalny tytuł (sklepy „społeczne"); długie cytaty niemieckie nieprzetłomaczone; zupełnie zbyteczny ukłon pod adresem Kautsky'ego, który nigdy nie miał i nigdy nie będzie miał najmniejszego pojęcia o socjologji stosowanej wogóle, a o kooperatywie w szczególności (str. 36); wreszcie — całkiem nie na miejscu ironiczne określenie „prawowiernych" kooperatystów, których teorję sam autor później rozwija (str. 72).

Usterki te nikną jednak w porównaniu z zaletami pracy. Zupełne opanowanie przedmiotu, jasna ekspozycja, piękny, drgający uczuciem, język, argumentacja logiczna, umiejętnie poparta danymi faktycznymi — oto zalety książki p. Milewskiego, zalety niezmiernie rzadkie w naszym piśmiennictwie naukowym. Ciekawa, a bardzo udatna, jest też budowa książki. Autor rozpoczyna od uwydatnienia kolosalnych zysków, jakie daje drobny handel, dowodzi, że zyski te mogą — dzięki kooperacji spożywczej — pozostać częściowo w kieszeni nabywców, częściowo zaś być użyte na dalszy rozwój organizmu kooperatywnego, a więc na wszelki handel, przemysł i rolnictwo; podkreśla znaczenie propagandy i oświaty kooperatywnej. Kooperatywa spożywcza jest najlepszą szkołą „samostarczalności" i „samoradności" ludowej, jak mówi Niemojewski. „To tylko co buduje lud sam swoimi własnymi siłami, tylko to posiada prawdziwą moc i duszę i dostojność", pisze autor (str. 51), kreśląc perspektywy nietylko narodowego, lecz i między-narodowego rozwoju kooperacji.

W następnych rozdziałach autor omawia zadania ruchu, jego zasady, jego stan obecny, oraz różne zagadnienia, z kooperacją związane. Autor stoi na stanowisku ogólnie-europejskim, jeżeli się tak wyrazić można. Jest zwolennikiem bezpartyjności kooperatywy, widzi w niej narzędzie całkowitej przemiany obecnych stosunków ekonomicznych, nie pomija sprawy udziału kobiet w kooperatywie, sprawy najemników kooperacji i t. d. Bardzo trafne są te dowodzenia autora, gdzie wykazuje on, iż rozwój kooperatywy zależy w pierwszym rzędzie od stopnia oświaty i umoralnienia ludu. W sprawie najemników kooperacji autor jest zwolennikiem dopuszczania ich do udziału w zyskach (str. 120), jednak — zwalczając przeciwną teorję — autor nie podnosi jej najważniejszego argumentu, a mianowicie, że najemnik kooperatywy nie potrzebuje brać udziału w zyskach, gdyż — jako spożywca — może i powinien zostać członkiem kooperatywy spożywczej, a więc współ-właścicielem tego sklepu, czy tej fabryki, gdzie pracuje. Dokładny zarys kooperacji spożywczej w Polsce i cyfrowy obraz ruchu we wszystkich krajach wypełniają resztę książki, której końcowe strofy brzmią, jak przecudowny i ogromnie głęboki hymn „artyzmu tworzenia nowych stosunków nowego życia" (str. 215), gdzie autor kondensuje swój eksperymentalny idealizm, tak charakterystycznie europejski, tak nam obcy i tak bardzo nam potrzebny.

Wogóle — dzieło p. Milewskiego ma pierwszorzędną wartość teoretyczną i praktyczną; pisane jest jasno i zrozumiale dla wszystkich; powinno też znaleźć się w ręku każdego, kogo interesują kwestje społeczne.

Karol Łodzia.

S. Wojciechowski. **Jak założyć stowarzyszenie spożywcze?** Warszawa 1911. str. 224.

W skromną formę praktycznego podręcznika autor wlał bardzo głęboką treść, którą wyłożył właściwym sobie jędrnym i obrazowym językiem. W szeregu niby — pogadanek autor dotyka najważniejszych zagadnień kooperacyjnych. W rozdziale, zatytułowanym „Jaki pan — taki kram", autor kładzie nacisk na moralne zalety i na wykształcenie członków, od czego zależy powodzenie stowarzyszenia. Następne rozdziały: „Co to jest strwarzyszenie spożywcze?" i „Główne zasady stowarzyszenia spożywczego" da-

ją zwięzły, lecz jasny obraz obecnego stanu ruchu kooperatystycznego i jego podstawowych zasad. Autor uważa kooperatywę spożywczą za środek usunięcia kapitalizmu. „Stowarzyszenie spożywcze, mówi (str. 16) jest to otwarta dla wszystkich organizacja spożywców, zaspokajająca ich potrzeby lepiej i taniej, aniżeli handel prywatny i stawiająca sobie za cel przeprowadzenie zasady sprawiedliwości, uczciwości i porządku na całej przestrzeni swoich ekonomicznych operacji od wymiany do produkcji". Rozdział „Handel prywatny, a stowarzyszenie spożywcze", gdzie autor w czterech antytezach formułuje różnice handlu kapitalistycznego i handlu kooperatywnego, jest wprost genjalnie napisany. „Dalsze rozdziały: „Warunki niezbędne do założenia stowarzyszenia spożywczego, prace przygotowawcze", organizacja, lokal sklepowy i t. d. zawierają szereg praktycznych wskazówek, któro jednak autor zawsze podaje z wyżyny najczystszych zasad kooperatyzmu, demokracji i humanitarności. Rozdziały o podziale zysków, o kontroli zakupów i o udziale kobiet (które powinny być nietylko równouprawnione w kooperatywie, lecz odgrywać w niej rolę kierowniczą) również dają autorowi sposobność do poruszenia najbardziej zasadniczych zagadnień kooperacji.

W końcowej części książka zawiera ustawę normalną stow. spożywczego, wzory protokułów, materjały do odczytów i t. d.

Praca p. Wojciechowskiego jest typem książki, u nas bardzo rzadkim, a na Zachodzie niezmiernie rozpowszechnionym, a mianowicie książki, która łączy popularną formę z naukową treścią. Powinna znaleść się w ręku nietylko członków zarządów kooperatyw, którym ją autor przeznacza, lecz i w ręku wszystkich inteligentnych ludzi. O kooperatywie dziś nie wolno nie mieć pojęcia.

K. Ł.

NA DOBIE.

Sensacja tygodnia.

Pisma wszelkich odcieni i barw żywo komentują, potępiają, wyklinają, a przedewszystkim gorąco i wyłącznie się zajmują sprawą napadu na byłego prezesa koła polskiego w Dumie, p. Romana Dmowskiego. My, ze swej strony, nie przypisywalibyśmy całemu zajściu zbyt dużego znaczenia, gdyby nie zawierało ono w sobie wymownego przyczynku do charakterystyki samej ofiary napadu, jak i kół bezwzględnie z nią sprzymierzonych. W toku rozpraw prasowych wyjaśniło się, że w osobie wodza Endecji, spoliczkowany został właściwie nie sam człowiek, ale zasada, którą reprezentował. Nie łagodzi to bynajmniej brutalnego charakteru napaści, która spotkała się ze słusznym wybuchem powszechnego oburzenia. Nikt wszakże nie ma prawa mniej się oburzać niż sam p. Dmowski, który stale wyrazu *humanitaryzm* używał tylko w cudzysłowie, uważając go za *cudze słowo*, za obce sobie pojęcie.

Ale snadź nietylko *humanitaryzm* obcy jest naturze pogromcy „etyki chrześcijańskiej:" jak okazuje się z zestawienia rozmaitych świadectw i opisów zajścia, obcą mu jest także odwaga. Dziwnie bo wygląda jego rycerskość: w swym „Liście do niewiadomych" winszuje on sprawcom napaści pomyślnej ucieczki i przechwala się, grożąc, że gdyby był dopadł kogoś z nich, winowajca nie uszedłby cało; według tej że relacji, napastnik miał zajść mu z tyłu i uderzywszy go, począł natychmiast uciekać; tymczasem, inna relacja, stwierdzona podpisami pp. Śpiewaka i Łukoskiego, będących świadkami zajścia, utrzymuje, że p. Dmowski świadomie minął się z prawdą, adresując swój list do „niewiadomych", ponieważ policzkujący, przed uderzeniem, wręczył p. Dmowskiemu swój bilet wizytowy z *imieniem, nazwiskiem i adresem*; bilet ów p. Dmowski zatrzymał przy sobie; wynika stąd, że bijący nie czynił zasadzki, nie zachodził z tyłu i z tyłu nie uderzał, lecz postępował otwarcie, acz brutalnie, bynajmniej nie unikając konsekwencji dokonanego czynu; policzkujący cofnął się dopiero wówczas, gdy p. Dmowski zamierzał wziąć odwet za pomocą laski, co spowodowałoby burdę uliczną. Informacje powyższe zyskały potwierdzenie w liście p. Ostrowskiego, sprawcy napaści, który nie ukrywając się bynajmniej, otwarcie wystąpił z odsłonięciem swego nazwiska i adresu, publicznie, nie bacząc na niebezpieczeństwo wielorakich represji.

Rycerska poza hiszpańskiego granda nie powiodła się p. Dmowskiemu wcale. Jego heroizm spalił na panewce, pozostawiając obłoczek dymu, w którym, chciał on zataić swe rzeczywiste oblicze. Miast roli Cyda, odegrał on pospolitą rolę nieśmiertelnego — w komedji polskiej — Papkina:

„A bierz licho takie znoje!
Ależ bo to było żwawo:
Djablom gromił w lewo, w prawo!
Pot strugami ciecze z czoła —
Któż me dzieła pojąć zdoła!
Tył podałem? — Cóż to znaczy,
Z tyłu, z przodu, — wszystko jedno,
Dobry rycerz wszędzie straszny!"

Tak! miał słuszność stary Fredro: dobry rycerz wszędzie straszny! A to że kłamie, któż mu policzy między grzechy, skoro kłamstwo, niby ofiarę wonną, składa na ołtarzu ojczyzny, która — Bóg jeden widzi — jak bardzo pragnie, aby ją okłamywano, aby ją usypiano, aby ją w kłamstwach balsamowano...

A gdy ktoś wreszcie, przez zaciśnięte zęby, rzuci złowrogo:

— To bezczelność!... — wówczas p. Dmowski, bez chwili namysłu, odpali mu słowami tegoż Papkina:

— Nie inaczej!
Bezczelności trzeba było,
Aby walczyć z taką siłą.

Dotychczas znaliśmy p. Dmowskiego w polityce, jako kuglarza i fantastę; obecnie przekonaliśmy się, że jako człowiek, jest Papkinem.

Uprzemysłowienie.

Bardzo wiele pisze się i mówi o przemyśle Królestwa Polskiego, zwłaszcza teraz, w dobie ponownego rozkwitu interesów, ale robi się w tej dziedzinie niezmiernie mało.

Tymczasem kraj nasz jest złotodajną Paraną dla wszystkich, tylko nie dla nas, bo my szukamy szczęścia za oceanem, co słusznie wytknął J. Kurnatowski. Ankieta warszawskich pism ilustrowanych, *notabene* w sposób bardzo niesmaczny prowadzona, stawia przed oczy ogółu pod miłym i swojskim nagłówkiem „przemysł polski" istne eldorado przedsiębiorczych i spasłych przybyszów z Niemiec, Belgji i Francji. Polskim jest tu tylko proletarjat z jego ciemnotą, nędzą i apatją; polską jest również „nadwartość" jego pracy, drenowana w postaci miljonowych zysków do zagranicznych kas i skarbców.

Ten stan rzeczy bynajmniej nie zmienia się na lepsze. Kapitał polski po dawnemu kryje się tchórzliwie, o ile nie stawia cukrowni nad chińską granicą. Że mógłby skutecznie stanąć tu do walki z obcą inwazją, dowodem Łódź, która przelewa nadmiar swojej energji twórczej na całą okoliczną połać kraju, zgęszczając dokoła siebie sieć kolei, fabryk, kopalń, cegielni, młynów, urządzeń miejskich, promieniejąc roz-

rostem i bodźcem materjalnym nawet na Zagłębie, Piotrków, i Kalisz. Ale kapitał łódzki jest w drobnej tylko części krajowym, bowiem obcość swą, a nawet wrogość, ujawnia przy każdej okazji. A my? Organizujemy na prowincji bardzo poczciwe koncerty i teatry amatorskie, wydajemy tomy poezji, podejmujemy biskupów z niezmierną paradą, wzamian za co oni rzucają klątwy na nasze pisma i szkoły; wreszcie, traktujemy „ustrój kapitalistyczny" i „świat burżuazyjny" podobnie, jak lis w bajce traktuje „kwaśne" winogrona.

Kolonja żargonowców.

Gdy na wiecu przedwyborczym Gminy żydowskiej jeden z asymilatorów w przemówieniu swym stwierdził, że „w głębi dusz nacjonalistów żydowskich tkwi dążenie do stworzenia gmachu sjońskiego na ziemi polskiej, na sali powstało tak wielkie wzburzenie, iż mówca nie mógł wrócić już do głosu.

I to wzburzenie żydów było zupełnie zrozumiałe. Czuli oni całą zgrozę tego oskarżenia, rozumieli, że oskarżono ich o zbrodnię niewybaczalną...

Teraz po upływie kilku zaledwie miesięcy od owego wiecu, dzieje się w zaścianku nacjonalistów coś co nam niestety przypomina złowróżbne słowa owego mówcy.

Oto jeden z dzienników żargonowych, *Der Moment* zakupuje na własność znaczne obszary ziemi w okolicach Miłosny i co dwa tygodnie wyznacza jako premjum jednemu z przedpłacicieli swych 3000 łokci kw. z owego gruntu. Będziemy więc wkrótce mieli olbrzymią kolonję żargonowców za Warszawą, a z czasem — jak wierzy *Der Moment* — stanie się ona „potężną dzielnicą naszego miasta". Trudno przypuścić, aby redakcja *Momentu* czyniła to tytułem walki z drożyzną mieszkań, jak myślą ciemni jego czytelnicy. Mamy tedy prawo wystąpić z zapytaniem wobec prasy żydowskiej, która niedawno jeszcze w swej pamiętnej deklaracji żądając równouprawnienia żargonu, tak pięknie prawiła o „zgodzie obywatelskiej", — do czego dąży ową ślepą, gwałtem masie żydowskiej narzucaną separacją, która coraz głębszym klinem wrzyna się w społeczeństwo polskie? Jakiż inny cel mieć może poza tworzeniem chimerycznego państwa Sjonu—na Mazurach?

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Odezwa N.-D. w prasie.* Stronnictwo nar. dem. stało się ostatnimi czasy czymś w rodzaju starego miecha, który niegdyś wydymała do olbrzymich rozmiarów ambicja i pycha szowinizmu, a dziś depce go i rozdziera każdym krokiem nieubłagana i niemająca litości dla politycznych fanfaronów — rzeczywistość. Miech ów przed kilku laty brzmiał na cały naród ogłuszającym, potwornym rykiem wstecznictwa i barbarzyństwa. Dziś, leżąc w prochu, okupywać musi każdą próbę energiczniejszego ruchu coraz głębszym pruciem się wszystkich szwów; chcąc dobyć ze siebie dawną siłę tonu, powoduje tylko rozpadanie się spróchniałej machiny na części. Ostatnia odezwa rzeczonego stronnictwa w sprawie szkolnej odsłoniła przed oczyma ogółu obraz takiej rozbieżności żywiołów, że odtąd właściwie niepodobna określić, gdzie mieści się główna kwatera Endecji. *Goniec* wraz z kołem swych sympatyków, reprezentujący t. zw. „frondę" już dawniej przeciwstawił się naczelnemu dowództwu p. Romana Dmowskiego, krystalizując powoli wokół siebie osobny odłam polityczny. Aliści, świeżo, na odgłos znanej uchwały, przeciwko bojkotowi szkół rządowych zwróconej, wystąpiła z protestem gwałtownym przeciw p. Dmowskiemu *Ziemia Lubelska*, organ dający wyraz szerokiej opinji prowincjonalnego ziemiaństwa, krew z krwi i kość z kości endeckiej. Posłuchajmy jego namiętnej filipiki:

P. Dmowski dobrze sytuację rozumiał. Wiedział on, że oprócz jego najbliższych i garści osób na prowincji, szeroki ogół nie poszedłby za nim do realistów, bo czuje do nich uczuciowy wstręt. Wiedział, że taki sam rezultat byłby, gdyby nie wstępując do partji realistów, założyć chciał jakieś nowe neougodowe stronnictwo. A w tym wypadku nawet realiści przestaliby się liczyć z wodzem, mającym dość liczny sztab, ale pozbawionym armji. I dlatego to sternicy nowego kursu chcieli koniecznie pozostać pod firmą narodowej demokracji, a nadać jej treść, stojącą w zupełnej sprzeczności z tymi hasłami, pod którymi się kilka lat temu ogół naszego społeczeństwa koło narodowo-demokratycznego sztandaru skupił. Bezwątpienia mogli oni byli jawnie odstąpić od tego sztandaru, jeżeli weń przestali wierzyć, lecz nie wolno było tego sztandaru unosić do przeciwnego obozu, łudząc skupione koło sztandaru szeregi, że w dalszym ciągu sztandar ten prowadzi ich w imię dawnej idei, a nie do kapitulacji.

...I niech „Gazeta Warszawska" nie mami czytelników zapewnieniem, że nowy kurs, jako mający za sobą większość delegatów zjazdowych, cieszy się wśród ogółu członków dotychczasowego stronnictwa „niezachwianą powagą" i obowiązuje ich wszystkich. Nowy kurs będzie obowiązywał tylko sterników jego i ich adherentów. Co się zaś tyczy tych, dla których drogimi są hasła dawniej głoszone, to „Gazeta Warszawska" wprost prowokuje ich, mając osobliwą odwagę twierdzenia, że członkowie opozycji byli radzi z zapadnięcia uchwały nowego kursu tak znaczną większością — na zjeździe. Niefortunny naśladowca margrabiego Wielopolskiego i tutaj zapragnął, idąc wzorem jego organu, który nazajutrz po brance opowiadał o radości poborowych, — naigrawać się ze zmajoryzowanych na zjeździe przeciwników. Kierownicy nowego kursu liczą na to, że wobec ogromnego zniechęcenia do polityki szerokiego ogółu, wobec kolejnego opuszczania szeregów stronnictwa narodowej demokracji przez ludzi, którzy już dawniej nowy kurs przewidzieli, wobec ewentualności nowej, wprawdzie licznej, lecz sporadycznej i niezorganizowanej secesji „niepożądanych żywiołów", zostawiających w ten sposób wolne pole w stronnictwie nowemu kursowi,— że wobec tego wszystkiego ogół dawnego stronnictwa narodowo-demokratycznego nietylko nie zdobędzie się na zorganizowaną opozycję przeciwko temu, co się będzie rzekomo w jego imieniu działo, ale nawet na oficjalne rozwiązanie niegdyś istniejących lokalnych organizacji stronnictwa. I w ten sposób będzie można w dalszym ciągu operować fikcją, że za „nowym kursem", figurującym na czele „stronnictwa" stoi cała masa społeczeństwa polskiego, która niegdyś (wprawdzie pod zupełnie innym hasłem) przynależność swoją do demokratyczno-narodowego sztandaru, zamanifestowała.

Ale kto wiatr sieje, zbierze burzę. A czas już najwyższy oczyścić stęchłą atmosferę publiczną, w której pod maską Narodowej Demokracji tworzy się Stronnictwo Narodowej Demoralizacji.

Inne pismo lubelskie, postępowy *Kurjer* również rozważa dzisiejsze stanowisko endecji z zasadniczego punktu widzenia. W artykule naczelnym p. t. „Likwidacja idei narodowo-demokratycznej" znajdujemy takie słowa:

Ten zasadniczy zwrot z konieczności musi doprowadzić do likwidacji stronnictwa, które nie posiadając określonej wiary, wypożycza sobie ideały cudze, byle tylko posiadać chociażby pozory władzy decydującej. Posiadanie więc władzy staje się najistotniejszym ideałem neoendeckim, a władzę tę nauczył nas p. Dmowski zdobywać per fas et nafas za pomocą „kłów i pazurów" — nie troszcząc

się wcale o to, czy wypadnie pobrzękiwać szabelką rewolucyjną, czy posługiwać się ugodowym ukłonem. Byle tylko nasze było na wierzchu, byle tylko cała hierarchja karjerowiczów idei narodowej miała do rozdziału władzę i wpływy, byle tylko my.

...Idea narodowa, ale jakąż jest idea, którąście co trzy miesiące na innej godzinie nastawiali — o rowadzając skazówki od skrajnej rewolucyjności,aż do skrajnej ugody?

Gdzie Wasza wytyczna? I gdzież ma podążać za wami naród? Czy w takiej szkole politycznej ma się on nauczyć tego, czego nam najwięcej zawsze brakowało, to jest bohaterskiej wytrwałości na raz obranym stanowisku? I czyż taki naród, który co trzy miesiące ma plwać na to, co przedtym szanował — może zasługiwać na szacunek, a nie na lekceważenie? I to ma być polityka? Polityka zdrowego rozsądku?

Jak wielkie rumowisko średniowiecznej wielkiej budowy leży nasza Polska pośrodku Europy. Gruzy feudalizmu, przegnite belki klerykalne i zardzewiałe niewolnicze pęta ludu, naokół leżą pokotem.

...Idea demokratyczna, ale cóż z niej pozostało?... Czyż jest nią wasza namiętna walka z ludowymi i robotniczymi partjami? Czy stanowisko, utrwalające hegemoję fabrykanta, księdza i pana? Czy wasze dążenia do zaprowadzenia harmonji między wyzyskiem a krzywdą, przyczem tłomaczy się tej ostatniej, iż to ona ma złożyć swe pretensje w ofierze na ołtarzu Ojczyzny? A jednak mimo tak zmienionego stanowiska macie wciąż czoło nazywać się demokratami, siłą demagogicznego frazesu i dźwięczących słów hukiem. A gdyście tak zaprzepaścili ideę demokratyzmu i nie zdobyli się na śmiałe wytknięcie celu naszych narodowych dążeń, gdyście wreszcie zatracili wiarę w naród, to pytam, czym odróżniacie się od realistów, jak nie potokiem mętnych frazesów i mniejszą uczciwością policzną? Oportunizm przegryzł wam ciało do szpiku kości, a epigoni Popławskiego już nie widzą nic poza osobami i ich interesami i stają się najzwyczajniejszą, rodzimą naszą kliką bez ideałów i dążeń.

Jeszcze silniej uderza w ton protestu przeciwko uchwałom Endecji i całej ich polityce, postępowa *Gaz. Kujawska*, w artykule wstępnym p. n: „Precz obłudnicy!"

W szumnie brzmiących słowach, niejednokrotnie kryje się najwstrętniejsza obłuda.

Pod pozorem dbałości o dobro narodowe, przemyca się chęć pokazania władzy, lub chęć zaspokojenia swych ambicji.

Do ludzi tego typu bezsprzecznie należą członkowie N. D., których przywódcy niejednokrotnie ciągnęli społeczeństwo na błędne manowce, frymarcząc w ohydny sposób ideałami, dumą, a nawet interesem narodowym. W takich wypadkach społeczeństwo miast silnego protestu, przechodziło do porządku dziennego, pocieszając się „to już ostatni raz". Tymczasem stronnictwo N. D. jeszcze raz zlekceważyło sobie rzeczy, które dla naszego społeczeństwa są wprost święte.

Pomijając milczeniem niejednokrotnie wypowiadane przekonania naszego społeczeństwa w najżywotniejszych sprawach, N. D. dla celów zakulisowych swego stronnictwa, w chęci wyciągania kasztanów dla J. W. P. P. z ul. Świętokrzyskiej, uchwala rzeczy przeciwne interesom narodowym.

Czas już, by społeczeństwo zdjęło łuskę, przez którą patrzy na matadorów narodowych, zagarniających w monopol patrjotyzm i polskość, by tym łatwiej na tym terytorjum wyprawiać ohydne tany.

Czas, by społeczeństwo pp. z „Gazety Warszawskiej" powiedziało: precz obłudnicy od skarbnicy ducha narodowego.

Inaczej nad głowami naszymi możemy ujrzeć złowieszcze słowa Mane Tekel Phares.

Co się tyczy prasy stolicznej, to z wyjątkiem *Gaz. Warszawskiej* oraz wiernych jej aljantów zachowawczo-ugodowych *Słowa* i *Kurjera Polskiego*, które uchwały N. D. z satysfakcją podchwyciły, wszystkie organy opinji wypowiedziały się energicznie przeciwko zlikwidowaniu strejku szkolnego. Miarą rozległości i energji protestu społecznego przeciwko samozwańczym zakusom Endecji jest fakt, że nawet *Kur. Warszawski* przełamał swą zwykłą tradycję przemilczania wszelkich spraw doniosłych, lecz drażliwych, i wypowiedział zdanie bądź co bądź, charakterystyczne, jeśli się zważy źródło wypowiedzi:

„Enuncjacja stronnictwa Dem. Nar. wywołała w opispołeczeństwa przedewszystkim pewne zdziwienie.

Ta opinja, której się nie drukuje, a która przecież istnieje i żyje, była zaskoczona jakąś niespodzianką niemal zagadkową.

Ludzie, wczytując się w „uchwały zjazdu Dem. Nar.", zadają sobie pytanie: Co to się właściwie stało? Jakie znaczenie ma ta odezwa? Argumenty w niej zawarte są może trafne, ale wskazania na nich oparte już przed tym życie samo przeprowadziło i do pewnego stopnia uregulowało, pozostałe zaś jeszcze zadrażnienia z dniem każdym łagodnieją, pod wpływem nieuniknionych konieczności. Taki obrót rzeczy jest zresztą całkiem naturalny i z góry był przewidziany. Wszelkiego rodzaju „bojkoty" są tylko przemijającym środkiem w danej akcji; z biegiem czasu ustają i dziwić się temu ani tym gorszyć nie trzeba".

* *Dokoła koronacji.* Ogrom i charakter uroczystości londyńskich, a zwłaszcza owacja uczyniona przez lud brytański jen. Botha dawnemu wodzowi boerów, budząc powszechny szacunek i respekt, nasuwają zarazem refleksje na temat źródeł kultury i potęgi angielskiej. „Gody wielkobrytańskie" uczcił też w *Kurjerze Warszawskim* pięknym artykułem p. Cz. J. takie czyniąc konkluzje:

Uroczystości „koronacyjne" angielskie, na których przepych wydawano bez wahania, a z rozmysłem, sumy nielada, były świadomą celu manifestacją, o której znaczeniu wyłącznie „lokalnym" nie godzi się mówić. Był to wielkiej doniosłości dla całego świata: pokaz plonu, który wydać może z biegiem lat — w duchu najwytrawniejszej kultury i cywilizacji poczęta — *demokratyzacja praw i obowiązków* na podstawie pełnego równouprawnienia wszystkich obywateli.

Po drodze tej szła od wieków Anglja, i po drodze tej zaszła daleko — w potęgę własną i w szacunek u świata.

Biada — maruderom!

Jednocześnie — jak na urągowisko *Amtsvorsteher* pewnej gminy poznańskiej taką nadsyła odpowiedź jednemu z polskich towarzystw sportowych na podanie o urządzenie zabawy publicznej.

„Stowarzyszenie polskie, którego nazwa w pańskim podaniu jest nieczytelna, nie jest znane w tutejszym urzędzie. Proszę więc, aby, zanim udzielę pozwolenia, zakomunikowano mi, do jakiej narodowości zaliczają się członkowie Stowarzyszenia".

Na drugie podanie nadeszła taka odpowiedź:

„Wprawdzie doniósł mi przewodniczący obwodu dworskiego (Gutsvorstand), że członkowie pańskiego Stowarzyszenia zaliczają się do *polskiej narodowości*, zdaje się to jednak polegać na nieporozumieniu, ponieważ od r. 1795 nie istnieje już państwo polskie, przeto istnieć także nie może *naród polski*. Ponieważ jednak dowiedziałem się z innej strony, że członkowie Stowarzyszenia są osiadłymi w majątku X. X. niemcami, którzy kiedy niekiedy posługują się językiem polskim, przeto nie waham się udzielić pozwolenia na odbycie zebrania.

W interesie jednak pańskiego Stowarzyszenia polecałoby się działać w tym kierunku, aby nie mieszano języka z narodowością.

Tak wygląda duch kultury germańskiej w najnowszej interpretacji. Kiedy rozważyć różnice pomiędzy autorytetem mocy angielskiej a pruskim systemem szykan policyjnych, jasnym się staje, że mimo równej napozór siły militarnej, Niemcy stoją nieskończenie niżej od Anglji; i dlatego szanse spodziewanej walki nie są równe...

KRONIKA.

ODPADANIE OD PRAWOSŁAWIA. W zeszycie majowym miesięcznika „Missionerskoje Obozrenje" ogłoszono cyfry, dotyczące odpadania od prawosławia, zaczynając od 30-go kwietnia 1905 rokn do 1-go stycznia 1909-go r. W ciągu tego czasu, to jest w niespełna cztery lata odpadło osób:

na katolicyzm	232,705
na mahometanizm	49,758
na wyzn. ewangel	14,527
do staroobrzędowców	4,240
na buddaizm	3,468
do różnych sekt	3,093
na mozaizm	409
na wyzn. orm.-gregorj.	407
na pogaństwo	150
Razem osób	308,757

W ciągu roku 1909-go stosunek sił, przeciągających z wyznania prawosławnego na inne uległ pewnej zmianie, jedynie tylko katolicyzm utrzymał się w pierwszym rzędzie. Do 1-go stycznia 1910-go roku odpadło z prawosławia:

na katolicyzm	4,328
na wyzn. ewangelickie	1,788
do staroobrzędowców	1,013
do różnych sekt	360
na mahometanizm	280
na buddaizm	157
na mozaizm	67
na wyzn. orm.-gregorj.	61
na pogaństwo	—
Razem osób	8,054

Cyfry powyższe pochodzą z wykazów stytystycznych, nadsyłanych przez gubernatorów. *Misj. Obozr.* zaznacza, że dodawszy do nich cyfry przypuszczalne do 30-go kwietnia 1911 r., oraz pewną ilość niezarejestrowanych wypadków odpadnięcia od prawosławia (np. w prowincjach odległych i t. zw. „głuchych" okolicach), okaże się, że w ciągu sześciu lat ostatnich od prawosławia odpadło 330,000 osób, czyli trzecia część miljona.

POLSKA SZKOŁA NAUK POLITYCZNYCH. W styczniu r. b. donosiliśmy pod tym nagłówkiem o inicjatywie szkoly nauk politycznych, wyszłej z grona profesorów Uniw. Krakowskiego z prof. Rostworowskim na czele.

Sprawa czyni bardzo powolne postępy skoro dotąd nie wyszła ze stadjum przygotowań wstępnych. Projektowane kursa rozpocząć się mają na jesieni.

Wykłady, objęte dwuletnim programem odbywać się będą w godzinach popołudniowych od 5—7, ażeby umożliwić uczniom czy to uczęszczanie do innego zakładu naukowego, czy też pracę samoistną w bibljotekach szkoły. Wykłady trwają od d. 3 listopada do 24 czerwca.

Program wykładów w roku szkolnym 1911/12 obejmuje:

1 „Gieografję ekonomiczną ziem polskich" — dr. Franciszek Bujak, prof. Uniw. Jagiell.

2 „Ustrój państwowy Polski za Stanisława Augusta" — dr. Stanisław Kutrzeba, prof. Uniw. Jagiell.

3 „Rozwój gospodarczy na ziemiach polskich w XIX i XX (część 1)" — dz. Włodzimierz Czerkawski, prof. Uniw. Jagiell.

4 „Rozwój pruskiej polityki ekonomicznej w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich" — ks. dr. Kazimierz Zimmermann. prof. Uniw. Jagiell.

5. „Ustrój państwowy austryjacki" — dr. Michał Rostworowski, prof. Uniw. Jagiell.

6. „Ustrój państwowy rosyjski" — dr Bohdan Winiarski, asystent szkoły.

7. „Ustrój administracyjny austryjacki" — dr. Władysław Wróblewski, docent Uniw. Jag.

8. „Ustrój administracyjny niemiecki i pruski„ — dr. Konrad Kolszewski, adwokat w Poznaniu.

9. „Szkolnictwo ludowe i średnie" — dr. Tadeusz Łopuszański, inspektor szkolny okręgowy.

10. „Prawo emigracyjne" — dr. Leopold Caro, adwokat krajowy.

Ze składu ciała profesorskiego wnosić można o wybitnie zachowawczym charakterze tej szkoły, której niezbędną przeciwwagą będą kursy nauk politycznych, organizowane również w Krakowie przez grono działaczów i uczonych socjalistycznych i postępowych.

Bibljografja.

Ekonomista, tom drugi za kwartał drugi b. r. zawiera następujące prace:

Poglądy ekonomistów polskich z początku XIX stulecia na reformy gospodarcze przez Dr. Ż. Grotowskiego Ludność żydowska w Królestwie Polskim przez Bohdana Wasiutyńskiego. Emigracja do Ameryki a ludność Europy, praca Władysława Studnickiego; obfitą kronikę ekonomiczną Galicji przez Dr. Zofję Daszyńską-Golińską, przez Emila Caspariego. Obszerny dział rozbiorów sprawozdań dopełnia treści tomu.

Widnokręgów *czasopisma poświęconego kulturze polskiej* ukazał się zeszyt 11 (rok drugi) i zawiera artykuł wstępny *D-ra Witolda Lewickiego.* Polityka i politykierzy, niedrukowane dotąd rzeczy *Stanisława Womeli* (z teki pośmiertnej): Komary Ślepiec, *D-ra Kazimierza Hartleba* rzecz o Lelewelu, jako człowieku i uczonym, pracę *Piotra hr. Dunin Borkowskiego*: Teorja sprawiedliwości w sztuce (przyczynek do psychologji twórczości), przekłady *Stan. Barącza* z młodej liryki niemieckiej (Dehmel, Bierbaum Bulke, Anna Ritter). *D-ra Bronisławą* Biegeleisena polemikę: Brzozowski Belmont, artykuł o Wystawie Trzech *Witolda Bumikiewicza, Mieczysława Retingera*: Krytykę Micińskiego (polemika) ogólne omówienie wyborów w artykule l. b, sprawozdanie teatralne i. t. d.

Zeszyt zdobią wykonane pięknie trzy reprodukcje z Wystawy Trzech we Lwowie jako osobny dodatek artystyczny: *Włodzimierza Błockiego*: Władzio na polowaniu *Zygmunta Kwiczyńskiego*: Portret pani W, *Józefa Wodyńskiego*: Studjum dekoracyjne. Zeszyt wydany bardzo starannie i ozdobnie.

Opuścił prasę zeszyt 3-y znanego powszechnie wydawnictwa **Słownika języka polskiego**, redagowanego obecnie przez *Władysława Niedźwiedzkiego* z udziałem *Kazimierza Króla.* Zawiera on wyrazy od Rozbaraszkowanie się do Rozwlekle.

Wyszedł II i III (podwójny) z miesięcznika **Sztuka** i zawiera następupujące prace: „Twórczość" Dunikowskiego; „Człowiek z jajka" V. van Gogha; „Boruta" T. Pruszkowskiego (reprodukcje); Braciom łańcucha" przez Ahasverusa; „Wielka izba" przez E. Verhaerena; „Un grand sommeil noir" (nuty) przez E. Morawskiego; poezja — P. Verlaine'a; „Oczy" (Miasto. Ziemia) przez Aleksandra Szczęsnego; „Spotkanie" przez W. Gordona (reprodukcya), „Spotkanie" (nowela przez E. A. Poëgo, „Ksiądz Faust" (powieść przez Tadeusza Macińskiego; "Czarodziejka" (rysunzk) reprodukcja przez J. Kamińskiego; „Sonety" przez Jana Kasprowicza; „Oczy" przez K. D. Balmonta; „Erotyk" przez Henryka Juszkiewicza; „Mnich" przez Jana Lemańskiego; „Fantazja architektoniczna" przez O. Sosnowskiego; „Z powodu Godów życia" przez J. Rudbakena; „O malarstwie" przez F. Siedleckiego; „Kościół" (architektura) przez O. Sosnowskiego; „Fresk w sali teatralnej" przez J. Rembowskiego; „Salon muzyczny" przez H. Uziemblę; Kronika. Ozdoby i okładki przez F. Siedleckiego.

Wydawnictwo jubileuszowe.

Prenumeratę na ilustrowany **Wybór nowel Wiktora Gomulickiego** przyjmuje radakcja *Prawdy* na warunkach następujących:

Cena egzemplarza zwyczajnego, w wydaniu wytwornym, z ilustracjami najpierwszych polskich artystów — rp. 3, z przesyłką pocztową rb. 3 kop. 50.

Na papierze czerpanym — rb. 10, z przesyłką pocztową rb. 10 kop. 50. (Egzemplarzy takich, opatrzonych kolejnymi numerami, będzie 50).

Na papierze najwykwintniejszym, holenderskim lub japońskim, z autografem autora i wydrukowanym nazwiskiem prenumeratora — rb. 25, z przesyłką pocztową o 60 kop. drożej. (Egzemplarzy takich, oznaczonych kolejnymi literami alfabetu, będzie 10).

Książka wyjdzie w miesiącach zimowych r. b. Po wyjściu cena zostanie podniesiona.

Nazwiska prenumeratorów będą ogłaszane w *Prawdzie*. Całkowita ich lista zostanie wydrukowana przy „Wyborze nowel".

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**
Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.